

Kłomika

D W U T Y G O D N I K S P O Ł E C Z N O - K U L T U R A L N Y

Nr 4 Rok I

ŁÓDŹ, 16-30 CZERWCA 1955

Cena zł 1.20

MARIAN SEREJSKI

NA PIERWSZEJ LINII FRONTU

W dziejach wyzwolenieckiego ruchu proletariatu polskiego w latach 1905—7 szczególnie chlubną kartę zapisała łódzka klasa robotnicza. Pierwsza podjęła walkę przeciwko caratowi i przeciwko rodzimym wyzyskiwaczom. Ostatnia, w okresie szalejącej reakcji, składała broń. Umiała przeciwstawić sprzymierzonej z caratem burżuazji jednolitą postawę bojowników wolności i sprawiedliwości społecznej. Ukazała w trudnej i wytrwałej walce, według słów Lenina, „nowe wzory rewolucyjnego entuzjazmu i bohaterstwa”.

Chcąc dać wyraz czci dla tej chlubnej tradycji, Polskie Towarzystwo Historyczne uchwaliło w roku ubiegłym, na swym dorocznym zjeździe, by następną zjazd odbyć w Łodzi i w toku obrad nad dziejami rewolucji sprzed pięćdziesięciu lat — rozważyć szczególnie w niej rolę proletariatu Łodzi i jej okręgu.

Równocześnie uchwała PTH powierzyła łódzkiemu ośrodkowi historycznemu zorganizowanie zjazdu czerwcowego i przygotowanie referatu o ruchu rewolucyjnym w latach 1905—7 w Łodzi i okręgu łódzkim.

Trudne to zadanie można było podjąć dzięki temu, że właśnie w Łodzi zapoczątkowano przed kilku laty systematyczne badania nad dziejami przemysłu i klasy robotniczej. Pod kierunkiem prof. dr N. Gąsiorowskiej zaprawiło się w tej pracy całe grono młodszych badaczy.

W oparciu o to grono zorganizowany został w oddziale łódzkim PTH szeroki zespół, który we wrześniu ubiegłego roku rozpoczął skrupulatne poszukiwania po archiwach i bibliotekach, jał gromadzić różnorodne materiały, przygotowywać referaty pomocnicze itd. Skupiając uwagę na kilku podstawowych problemach: na analizie położenia łódzkiej klasy robotniczej przed rewolucją, na swoistych cechach przebiegu i form walki klasowej w Łodzi w latach 1905-7 — można się było pokusić o odpowiedź na pytanie: jak to się stało, że proletariatu Łodzi wyrósł w tych pamiętnych latach na awangardowy oddział rewolucji.

Nie ulega wątpliwości, że przyczyny tego zjawiska tkwiły głęboko w strukturze przemysłu Królestwa Polskiego z końca XIX i pocz. XX wieku. Cechowała ją przewaga przemysłu lekkiego, zwłaszcza włókienniczego, co sprawiło, że Łódź właśnie wyrósł na największe skupisko proletariatu. Przemysł łódzki, wykazujący w wysokim stopniu tendencje monopolistyczne kapitalizmu — równocześnie w szerokim zakresie stosował praktyki ekstensywnej eksploatacji wczesnokapitalistycznego okresu. Nastawiony na rynki obce, narażony był silniej niż inne przemysły na kryzysy, które właśnie na przełomie wieków XIX—XX przybierały charakter chroniczny. Przy ciągłym bezrobociu lub półbezrobociu opierał się na bezgranicznym wyzysku pracy. Rezerwowa armia bezrobotnych, zasilana napływem elementu wiejskiego i zdeklasowanych drobnych rzemieślników, duży procent zatrudnionych w przemyśle włókienniczym kobiet i dzieci, umożliwiały najbardziej cyniczne formy eksploatacji. Płaca była niższa niż gdzie indziej, dzień roboty przekraczał 12 godzin. Nieregularność wypłat, stosowanie za wszelkie rzekome przewinienia całego systemu kar pieniężnych, samowola kapitalistów i majstrów rekrutowanych z reguły spośród Niemców odgradzonych od ludności polskiej — oto obraz, jaki przedstawia się badaczom. Obraz, który równie jaskrawo rysuje się w raportach urzędowych inspektorów, jak i społecznych obserwatorów, między innymi lekarzy. Nędza, lekceważenie najelementarniejszych reguł higieny, straszliwy stan sanitarny, głód mieszkaniowy (niezwykle wysokie czynsze), — wszystko to sprawiało, że robotnik łódzki, mimo powszechnie niskiej stopy życiowej w Królestwie, znajdował się w gorszym położeniu niż robotnicy innych okręgów przemysłowych.

Warunki te stwarzały przesłanki dla wzrostu niezadowolenia wśród mas, dla wrzenia rewolucyjnego. Bezlitosny wy-

zysk rodził zdeterminowanie. Ale nie brak przecież było czynników, które utrudniały dojrzewanie łódzkiej klasy robotniczej.

Ciemnota, układ stosunków narodowościowych (przewaga kapitalistów Niemców i Żydów), duża ilość zatrudnionych w przemyśle kobiet, stwarzały podatny grunt dla nacjonalizmu i klerikalizmu. Toteż przewyciężenie tych niebezpieczeństw przypisać trzeba szczególnie szybkiemu dojrzewaniu wśród robotników łódzkich świadomości klasowej. Ostrość przeciwieństw klasowych sprawiła, że proletariatu łódzki szybciej niż gdzie indziej zrozumiał, iż wspólnym wrogiem tak samo robotnika polskiego, jak i chałupnika żydowskiego, jest kapitalista, bez względu na to czy jest nim Niemiec, Żyd czy Polak. Hasła antysemityczne, klerykałne, solidarystyczne nie zdołały posiąść wśród robotników Łodzi takiej dywersji, jak gdzie indziej. Mało tego — nigdzie przecież tak jaskrawo nie ujawniła się zdrada narodowa klasy panującej, jej powiązanie z całym aparatem ucisku carskiego. Robotnik łódzki na każdym kroku naocznie stwierdzał, że aparat carski stoi zawsze na usługach kapitalistów. Czy chodziło o zatarg w obronie godności robotnicy narażonej na gwałty ze strony majstra, czy o podwyższenie płacy, czy o bezprawne przetrzymywanie wypłat, zawsze zjawiał się policjant, urzędnik, żandarm, jako strażnik interesów fabrykanta. W okresie ruchu rewolucyjnego szły błagania i prośby ze strony fabrykantów do władz carskich. Nic dziwnego, iż robotnik łódzki uświadomił sobie, że walcząc z wyzyskiem kapitalistycznym musi walczyć równocześnie z obcym najęźdźcą, z carskim panowaniem, że sojusznicy tych dwóch sił musi przeciwstawić solidarną postawę wszystkich wyzyskiwanych. Toteż umiał pociągnąć za sobą elementy półproletariackie, drobnomieszczańskie, a także rozbudzić do walki wieś.

Badania wykazały, że przodujące miejsce w ruchu wyzwolenieczym zajął proletariatu łódzki dzięki masowości podejmowanych akcji i różnorodności form walki. Strajki ekonomiczne i polityczne, okupowanie fabryk, powstanie zbrojne mobilizowały wielką część robotników i zmuszały nieraz oportunistycznych przywódców PPS czy Bundu do jednolitości działania z SDKPiL, do solidarności wszystkich mas pracujących.

„... A robotnicy, nawet nie przygotowani do walki, nawet ograniczający się początkowo wyłącznie do obrony, pokazują nam — jak proletariatu Łodzi — nie tylko nowe wzory rewolucyjnego entuzjazmu i bohaterstwa, lecz i wyższe formy walki”.

LENIN

„Powstanie marynarzy na Morzu Czarnym i Bałtyckim, powstanie robotników w Odessie, w Łodzi i innych miastach, nieustanne starcia chłopów z policją — dowodziły jasno, jaki nie do ugaszenia jest ogień rewolucyjny płonący w piersi ludu”.

STALIN

„Zaszczyt podjęcia pierwszej próby powstania, pierwszej masowej walki barykadowej w państwie carów przypadł w udziale polskiemu proletariatu i miastu Łodzi”.

DZIERŻYŃSKI

„Ta bohaterska walka robotników łódzkich stanie się niewątpliwie nowym bodźcem dla proletariackiego ruchu rewolucyjnego w całym Imperium Rosyjskim i ofiary nie są daremne. W Polsce robotnicy w związku z tymi wydarzeniami już podjęli walkę z nową energią. Trudno sobie wyobrazić, żeby walka ta nie porwała także rosyjskich robotników; mogą oni i powinni doprowadzić do rozstrzygnięcia...”.

MARCHLEWSKI

Rozumie się, że determinacji proletariatu przeciwstawiła sprzymierzona z caratem burżuazja szczególnie brutalne formy represji. Nie zdołały one jednak złamać rewolucyjnego hartu robotników, których postawa jeszcze w roku 1907 budziła najwyższe obawy władz. Rzeczą znaną dla ruchu wyzwolenieckiego w Łodzi jest krystalizowanie się nurtów lewicowych w PPS i Bundzie oraz przewyciężanie niektórych błędów w polityce SDKPiL.

Osobnym problemem badawczym dla historyków łódzkich było przesłedzenie zarysowującego się w latach 1905—7 sojuszu między robotnikami i chłopami w okręgu łódzkim. Stwierdzono, że zwłaszcza w powiatach najbardziej uprzemysłowionych kontakty wsi z robotnikami były żywe i że pomimo zduszenia ruchu wyzwolenieckiego w wsi, dalsze jego dzieje przestały być niezapisaną kartą. Właśnie gminy, które przeszły w pamiętnych latach chrzest walki, stały się później bazą ruchu zaraniarskiego.

Nie udało się w dotychczasowych badaniach bliżej określić roli inteligencji na gruncie Łodzi i przemian w życiu kulturalnym. Naświetlone zostały jedynie wydarzenia związane ze strajkiem szkolnym, gdzie doszły do głosu wpływy ruchu rewolucyjnego.

Zespół łódzkiego ośrodka PTH bądz też jego komisje zbierały się wielokrotnie, by konfrontować zebrane materiały i wspólnie je ocenić, poznać różne punkty widzenia i przedyskutować różne strony badanych zjawisk, rozświetlić nasuwające się zagadnienia. W zespole znaleźli się profesorowie i docenci UŁ, młodzi pracownicy nauki, duża grupa archiwistów. Nad całością prac czuwał prezes PTH prof. dr N. Gąsiorowski oraz prezes oddziału łódzkiego PTH dr M. H. Serejski.

W świetle materiałów zanalizowanych i opracowanych przez zespół historyków łódzkich — pomimo wielu jeszcze luk i zagadek — awangardowa rola łódzkiej klasy robotniczej w latach 1905—7 występuje w całej pełni. Zrozumiałe się staje, dlaczego jej hart, zdyscyplinowanie, umiejętność stosowania nowych metod i form walki, solidarność proletariacka, internacjonalizm i patriotyzm, mogły stać się wzorem dla całej klasy robotniczej w Polsce i przyczynić do późniejszej zwycięskiej walki o wyzwolenie społeczne i narodowe.

MARIAN SEREJSKI



K. Wąs — Barykady na szosie Pabianickiej k. parku Leonharda.

TADEUSZ GIGGIER

Z POEMATU O ROKU 1905

Barykada

Sękatym stanęła trójkątem,
ostrzem we Wschodnią mierzy.
Oficer przebiegł przed frontem
roty — nim rota uderzy.

Szablą wskazuje zatknięty
sztandar — i woła: pał.
Milczy szereg posępny,
żaden nie rozległ się strzał.

* * *

Przynies, siostrzo, w fartuchu kamieni.
Cięższe, mówisz, od przędzy — ja wierzę.
Tylko widzisz: tam niewolnicą
jesteś nędzną, tutaj — żołnierzem.

Przydzwigała. Stań! na skrzyni,
nie wiadomo: mężna czy swawolna?
Nim rzuciła, upadła przy bracie
z ciemną niać krwi — na zawsze wolna.

Lasek Konstantynowski

Stoją rzędem pod lasu ścianą.
Świta. Dąb do czoł ich schylił liście.
Po co wieniec, gdy na śmierć skazano?
Nie ma nic prócz śmiertelnej nienawiści.

Salwa. Drugą stawiają dziesiątkę.
Znowu salwa. Popłoch wśród zieleni.
O, zostańcie tak nad grobem swym schyleni,
skamieniałi, zdrajcom na pamiątkę.

A wy, coście podmuch czując trwogi
z katem ludów związali się w pakcie —
porzućcie pałacowe progi,
wstańcie do dnia — na dzieło swe patrzcie.

Przesłanie

Próżno syn miejsca szukał, gdzie strzelano
do skroni ojca, wypatrywał ślad.
Na ziemię, ciężkim butem udeptaną,
w niejedną zimę śnieg nieczuły spadł.

Niepomna przekleństw matki, co bluźniła
wałce, gdy dziecko jej konało z ran —
znów nad kołyską matka zanuciła
pieśń buntowniczą: „Ej, co mi tam...”

Długo milezały Syberii mogiły,
poręby leśne, gdzie krwią splotywał knut —
aż powstał wicher, który uskrzydlił
pieśni ginących — i tron cara zmiotł.

* * *

Jak wypowiedzieć wasze proste czyny,
tak już dalekie, skryte w gęsty cień?
Z wami żyjemy dziś, z wami wchodzimy
w jutrzejszy dzień.



JAN HUSZCZA

Wrażenia kaliskie

MIMO że znalazłem się w Kaliszu po raz pierwszy, nie czułem się w nim obco. Dawno słyszałem o jego uroku, o płynących w różnych miejscach przez miasto odnogach Prosy, pokrytych dużą ilością mostów, o rozległym i bogatym parku – wreszcie o zabytkach architektonicznych i Ptolomeusz, który jeszcze w II wieku naszej ery zanotował istnienie miasta.

Co zaś najważniejsze: z Kaliszem związane są nazwiska, które w dziejach naszej kultury odegrały dużą rolę. Adam Asnyk i Maria Konopnicka, Alfons Parczewski (uczony walczący m. in. o utrzymanie narodu łżyckiego) i podróżnik Stefan Szolc-Rogozński. Szczególnie zbliża i ten fakt, że Kalisz jest przecież Kalicem Marii Dąbrowskiej.

Kaliski Państwowy Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego jest jednym z najpiękniejszych w Polsce. Stwierdzenie to dotyczy zarówno gmachu, jak i jego położenia. Kremowy budynek z kolumnami znajduje się przy samej Prośnie, po wyjściu z przedstawienia można stanąć na kamiennych schodach, znikających w wodzie, i słuchać słówków, a czasem... chuliganów, gdyż na drugim brzegu ciemnieją właśnie parki.

Teatr ten w czasie mego pobytu wystawiał „Zeglarza”, komedię w trzech aktach Jerzego Szanińskiego.

...Bliziej nieokreślone miasto przygotowuje się do uroczystego obchodu, związanego z pamięcią bohatera żeglarskiego, kapitana Nuta, o którym jakiś gorliwy poeta napisał: „...z włosem rozwianym, ze wzrokiem w dal wpatrzonym, na płonącym pokładzie, zostaje kapitan...”.

Szczegółów dotyczących życia kapitana miasto nie ma, ale wszystko jest już przygotowane do uroczystości: pomnik, wystawa, orkiestra i nawet obszerna monografia, w której kapitan jest przedstawiony jako uosobienie wszelkich czytelniczych cnót i zalet.

Obchód przekaże społecznej świadomości tego kapitana Nuta, ten mit idealnie przylegający do – powiedzmy – sarmackiej wyobraźni, rutynarskiej w myśleniu, uczuciach, wartościowaniu, inaczej mówiąc: lubującej się w kłamstwie i zakłamanie.

Ale oto główny bohater sztuki, Jan, wraca do narzeczonej po dłuższej nieobecności. I jego intrygowana postać kapitana Nuta, stosunek prawdy do kłamstwa, mitu do rzeczywistości, legendy do faktów. Wszystko okazuje się blagą, dętologią: kapitan był zwykłym łobuzem, pijakiem i przemyślnikiem opium, ukochaną kobietę umiał przywołać do porządku bicia, na i... w ogóle! Nawet orlego nosa – jakim obdarzył go rzemieślnik – nie miał! A co chyba najgorsze – uciekł z płonącym okrętem!

Jan chce społeczeństwu przedstawić prawdę. Społeczeństwo, reprezentowane przez organizatorów obchodu, robi wszystko, by Jana przeciągnąć na swoją stronę. W obleganym pokoju Jana zjawia się wreszcie i stary sowy ex-marynarz, niejaki Paweł Szmidt, który też chce mu wyperswadować jego zamiar. Szmidt ma do dyspozycji argumenty szczególne: po pierwsze – jest żyjącym teraz pod przybranym nazwiskiem – owym kapitanem Nutem, po drugie, jest dziadkiem samego Jana, po trzecie, chce Jana uczynić wcale zamożnym spadkobiercą „niezjącego” kapitana Nuta.

Stary Szmidt, który swoje marynarskie życie spędził byle jak, również pragnie teraz mitu o sobie. Ale Jan nie ulega. Rezygnuje – i to na piśmie – ze wszystkich korzyści, świadomie skazuje siebie na wszystkie przeciwności, jakie spotykają go po ujawnieniu prawdy.

W czasie uroczystości odsłonięcia pomnika Jan zamierza wystąpić z demaskatorskim przemówieniem. W ostatniej chwili Jan odstępuje od swego zamiaru, ściągając z głowy beret i staje się uczestnikiem – przejętym i zupełnie bezinteresownym – ogólnego, ekstatycznego samookłamywania się...

Aby określić specyfikę teatru Jerzego Szanińskiego, można m. in. posłużyć się słowami Jana: „...Widzisz, piliśmy wino... nie jestem pijany, ale wszystko, co mam w tej chwili przed oczami, trochę się chwieje, nie widzę dobrze granic, nie wiem, czy to jest prawda, czy to jest sen, czy to jawa...”.

Widzeniem. To dziś – rewizjonizm w różnych dziedzinach badań przeszłości. „Zeglarz” jest więc na swój sposób aktualny.

Teatr w Kaliszu nie próbował jakiegokolwiek nowego zbliżenia go do odbiorcy, w programie przedstawienia nie ma nawet literackiego komentarza.

Sztukę rozegrano w dekoracjach bardzo skromnych i umiarkowanych. Założenie słuszne, konkretne rozwiązanie założenia – chyba trochę niejasne.

Przedstawienie nie zawiera żadnych niedociągnięć, jest – ogólnie rzecz biorąc – poprawne, ma swoje dobre minuty i nawet kwadrans, choć nie zawsze wyakcentowano klimat poetycki sztuki z dużą domieszką satyry, groteski, nie zawsze udawały się dramatyczne spiecia i konfrontacje postaw. Krzysztof Chmielec jako Jan podziwiał swoją trudną, nie obdarzoną za wielkim bogactwem przez autora, rolę. Czasem tylko był za bardzo liryczny, a w rezultacie – za monotony. Należy wyróżnić: Romana Cichockiego w roli Admirała, Michała Plucińskiego jako bardzo przekonującego Pawła Szmidta, Pawła Baldy jako doskonałego Starożytnego Marynarza, Leona Józefowicza w świetnym epizodzie Kapelmistrza i wreszcie Józefa Łodyńskiego w roli Wydawcy. Przy Łodyńskim chciałbym jednak zgłosić zastrzeżenie: niektóre jego aktorskie sposoby bliskie były zupełnie farsowym, a to w wypadku sztuki Szanińskiego nie jest właściwe.

Sprawę „Zeglarza” na tym chciałbym urwać i przejść do ogólniejszych spraw Teatru. Byłem dopiero na czwartym czy może piątym przedstawieniu, jednak obecna na widowni publiczność dążyła się szczerze zapalać zaledwie pięć rzędów krzeseł. Teatr zaś liczy 606 miejsc. Sytuacja taka budzi niepokój. Jak się okazało – i co każde wierzy w dobrą przyszłość – ta sytuacja i jej podobne budzą także niepokój w Dyrekcji Teatru.

Przed kilkoma tygodniami Dyrekcja zmieniła się, dyrektorem i kierownikiem artystycznym został Mieczysław Winkler. Trafiliem więc na „okres przejściowy”. Zespół nie jest skompletowany – skompletowanie w warunkach kaliskich to sprawa nie łatwa. Brak także kierownika literackiego. Dyrekcja zamierza dokonać zasadniczych przesunięć w polityce teatralnej. Jak wynika z rozmów, Teatr im. Bogusławskiego gorliwie zajmował się przede wszystkim obchodami. Na mapie świetnej przy wyjściu z teatru blizszy co za trzydzieści lat, miasteczek i osad województwa: poznańskiego, łódzkiego i wrocławskiego. Obchody, oczywiście, to osiągnięcie cenne i Teatr nadal nie zamierza z nich rezygnować. Chodzi jednak o ujęcie całej działalności w pewien system. Jak dotąd, obchody sprawili, iż aktorzy nie mają właściwie czasu na pracę nad rolami, nie mają tego czasu tym bardziej dla siebie. Teatr w praktyce najmniej dbał o to, żeby przede wszystkim być teatrem samego Kalisza, w maju ma nim być zaledwie przed siemdem wieczorów. Nowa Dyrekcja chce, aby każdego miesiąca część zespołu bawiła na gościnnych występach, a część – z inną sztuką – stała występować w Kaliszu. Co miesiąc zespoły zamieniałyby się swoimi obowiązkami. Ta równowaga działalności pozwoliłaby Teatru uporządkować, przywrócić wida kaliskiego do starych wieczorów teatralnych, przyciągnąć nie tylko widza o wyrobionej już potrzebie teatru, ale i tego, który jeszcze tej potrzeby w sobie nie czuje, zając się zaniebanganą „organizacją widowisk” nie tylko w wypadku sztuk mniej atrakcyjnych, jak to się często w praktyce różnych teatrów zdarza, zając się natomiast z nią, może i poprzez dyskusje, ściślej i żywcem kontaktem.

Czy to znaczy, że dotąd Teatr nie miał komplectów? Nie! Jest jednak faktem, że w mniejszym niż to być powinno stopniu był teatrem samego Kalisza, że kalendarzyk przedstawień w głównej siedzibie był kapryśny i przypadkowy.

Ścisłe z zagadnieniem przywrócenia wida do teatru wiąże się, czego chyba nie trzeba podkreślać, sprawa repertuaru. W nie tak dawnym repertuarze Teatru były sztuki i współczesne i klasyczne, jak „Dom na Twardziej”, „Wesele Figara”, „Imieniny pana dyrektora”. Ostatnio na zmianę idą: „Dom kobiet” Zofii Nalkowskiej i właśnie „Zeglarz”. Nie ubliżam tym doskonałym sztukom, gdy powiem, iż polityce przyciągania wida o rozmaitym poziomie wyrobienia teatralnego lub wcale niewyrobionego – to repertuarowa zbieżność nie bardzo sprzyja. Tego samego zdania, jeśli tylko dobrze zrozumiałem, jest i Dyrekcja.

Obecnie w próbach znajduje się „Sluga dwóch panów” Goldoniego w reżyserii starego „redutowca” Stefana Orzechowskiego oraz „Moralność pani Dulskiej” w reżyserii Mieczysława Winklera. W trochę późniejszych planach Teatru znajduje się „Zwykły człowiek” Leonowa, współczesna komedia

Jurgielewiczowej „Kłopot z mężczyzną”, „Pigmalion” Shawa, a nawet „Romeo i Julia” (jeżeli dotrzyma przyrzeczenia reżyser St. Perzanowska) lub „Rewizor”.

Ma Dyrekcja w planie także wieczór mickiewiczowski.

Nową Dyrekcję czekają więc trudne zadania pewnej reorganizacji pracy teatralnej, które dobrze rozumie, gdyż sama je przed sobą postawiła. Należy jej życzyć pełnego powodzenia.

Chciałbym jeszcze dodać, iż aktorzy Teatru „udzielają się” także miastu i przy innych sposobnościach. Co poniedziałek w lokalu restauracji „Robotniczej” występuje kabaret „Korci róg”. Podobno cieszy się powodzeniem. Niestety, dwa dni mego pobytu w Kaliszu dalekie były od poniedziałku.

III

W „Muzeum Kalisza” zorganizowano wystawę czasową, poświęconą rewolucji 1905–1907 r. i jej wydarzeniom w Kaliszu i okolicy. Wystawa odznacza się przejrzystością i instruktywnością, przedstawia książki, gazety, fotografie, oryginały i fotokopie dokumentów z okresu zrywu rewolucyjnego, z okresu strajku szkolnego na terenie dawnej gubernii kaliskiej, rządzonej przez gubernatora o osławionym w Polsce nazwisku, M. Nowosiłowa.

Po obejrzeniu wystawy, przetruciem kilka kartek w księdze, do której wpisują się zwiedzający. W rubryce „zawód” przeważają uczniowie i uczennice. Nic dziwnego. Kalisz posiada dużo szkół. Zwiedza poza tym wystawę inteligencja kaliska, pracownicy umysłowi. Niestety, prawie nie spotkałem w rubryce „zawód” rzeczownika „robotnik”.

A przecież Kalisz jest miastem w dużej mierze robotniczym, ma różnorodny przemysł, wystawa mówi właśnie o wspaniałej przeszłości rewolucyjnej.

Fakt, iż wśród zwiedzających robotnicy prawie nie zdarzają się, należy przypisać ośpiłości radzających i rozmaitości k.o. Prawdopodobnie dotąd nie rozpropagowali, nie docenili wystawy.

Przy uwagach o Muzeum wypada podkreślić, iż można tam nabyć odbitki zdjęć zabytków i widoków Kalisza. Niewątpliwie jest to pomysł, zasługujący na pochwałę, wiele bowiem mamy miast, w których trudno dopytać się o jakąkolwiek fotograficzną pamiątkę.

IV

Znalazłem się w Kaliszu, gdy Dni Oświaty, Książki i Prasy dobiegały końca. Aby się czegoś dowiedzieć o ich przebiegu, zdobyłem adres wydziału kultury Prezydium MRN. Na miejscu, przy ul. Walki Młodych 8, przekonałem się, że drzwi do komitetu kultury fizycznej i wydziału kultury... duchowej – są zamknięte na głucho.

Okazało się, że w Dniach Książki wydział kultury jest właściwie nieczynny. Dwuosobowy żeński personel wydziału ma urlopy: macierzyński i macierzyński. Oczywiście, prosty zbieg okoliczności i pierwszej z osób trzeba było złożyć dużo szczęścia macierzyńskiego, a drugiej – pomysłowości w uzyskaniu matury. Należy natomiast wystrzec poważne pretensje pod adresem władz miasta. Jakże to tak? Kalisz – siedemdziesięciopięcioletni Kalisz o bogatych tradycjach, posiadający dużą ilość placówek i instytucji kulturalnych – ma wydział kultury w stanie szczytkowym! Dwie osoby, może gdyby nie były na urlopie, coś mogły zrobić! Należałoby tylko uporać się z papierkową sprawozdawczością obowiązkami?

Po nieudanej wizycie w gmachu przy ul. Walki Młodych, poczułem w sobie przypływ złości: może agendy oraz organizacje, których zadaniem jest troska o poszerzenie kultury, w ogóle śpią, w ogóle o niczym nie wiedzą, w ogóle nie są z miastem związane?

Toteż wiceprzewodniczącego Zarządu Miejskiego ZMP, kol. Bercińskiego, na wstępie zapytałem, co wie o Rubensie w Kaliszu? Mój nastrój chciał odpowiedzi negatywnej. Okazało się, że wie. Obraz Rubensa „Zdjęcie z krzyża” znajduje się w głównym ołtarzu kościoła św. Mikołaja. A Kalinieć? No, jakże! Wiadomo, że to „Neco i dnie”. Rozmowa potoczyła się więc – mówiąc językiem komunistów dyplomatycznych – w atmosferze wzajemnego zrozumienia i zaufania. Rozmowa dotyczyła Dni Książki. Próbowałem początkowo kol. Berciński powołać się na dokonania, które nie wynikały z zasadzie z działalności Zarządu ZMP, ale po chwili obaj „satyrycznie” roześmialiśmy się, znaleźliśmy i działalność ZMP w tych dniach. Czegoś jednak w tej działalności niewątpliwie zabrakło. Czego? Kalisz leży na linii kolejowej między Poznaniem i Łodzią. Nie zorganizowało ZMP ani jednego spotkania z literatami, ani jednej dyskusji na temat książki o istotnej problematyce, ani jednej dyskusji choćby o tematyce, związanej z życiem samego Kalisza. Kol. Berciński przyrzekł odrobić to w najbliższej przyszłości.

Dużo ilość afiszów, zawiadomienia o imprezach, świadczy przede wszystkim o tym, iż – jak zwykle – w Dniach Oświaty, Książki i Prasy największą aktywność wykazują szkoły i biblioteki.

W tym samym domu, co i ZMP, mieści się miejska biblioteka im. Adama Asnyka. W bibliotece znajduje się skromna, ale ze zrozumieniem rzeczy urządzona wystawa książki i prasy. Nawiasem mówiąc, stoisko z prasą i czasopismami mogłoby wyglądać bogaciej, nawet książki proponują większą ilość tytułów. Znalazłem też i listy, z których parę pozwolił sobie przytoczyć. Biblioteka miejska w roku 1945 miała 1344 tomy i 287 czytelników, zaś w roku 1954 – 24.697 tomów i 5.274 czytelników.

V

Kaliski PDT posługuje się megafonami w sposób naruszający prawa obywateli do wypoczynku i skupienia. Zaden filozof – a filozofowie lubią ciszę i kontemplację – w okolicach budynku PDT nie narodził się, jeżeli zaś narodził się, to nie dojrzał. W Kaliszu był podobno na spotkaniu autorskim Jerzy Putrament, czołowy bojownik o odmeaganizowanie kraju. Jego wizyta widocznie nie pomogła. A może też w czasie jego pobytu przebieg megafonów po prostu zakłócał jego... A na Prośnie płyną trzy – podobno w tym roku sprowadzone z Warszawy – białe łabędzie. To jeszcze jeden szczegół, dowodnie świadczący o pięknie Kalisza.

JAN HUSZCZA

JERZY WYSZOMIRSKI



2 czerwca br. w Łodzi zmarł niespodziewanie Jerzy Wyszomirski, przeżywszy lat 58.

Na jego biurku zostały korekty kolejnego przekładu, opuścił nas w czasie jakże mu właściwej intensywności pracy, nie przerywanej od lat nawet wyjazdami na wypoczynek.

Piszę to, nie pogodzony ze śmiercią człowieka, którego znam od dwudziestu lat, nie pogodzony ze śmiercią pisarza i erudyta – humanisty.

Debiutował w roku 1921, ogłosił trzy tomy wierszy: „Calopalenie”, „Chwila niepokoju”, „Nie-wczesne”.

Był w Wilnie najwybitniejszym i najpopularniejszym felietonistą. Jego pseudonim „Wysz” przyciągał wzrok czytelników. W jednym budził aprobatę, w drugim – sprzeciw.

Drukował essay'e w „Wiadomościach literackich” i w „Sygnałach”, powrócił w tym roku do tego ulubionego przez siebie rodzaju w „Twórczości”.

Gdy w Wilnie władze sanacyjne w atmosferze nie były jakiejś nagonki zlikwidowały nasze lewicowe pismo „Po prostu” – On w „Wiadomościach Literackich” wystąpił jako człowiek, doskonałe rozumiejący buntującą się młodzież.

Widzę także w tej chwili zdemolowaną przez oenerowskich korporantów redakcję wileńską „Kurieru Powszechnego”, w którym Wyszomirski drukował pełne pasji felietony przeciwko antysemityzmowi.

Nie przerywał swojej działalności i w czasie okupacji. Przebywając w Warszawie, pisał do podziemnej prasy, brał udział w tajnym nauczaniu.

Łodzi dał się poznać tuż po

wyzwoleniu początkowo jako felietonista „Rzeczypospolitej”, a potem – „Dziennika Łódzkiego”.

Z ukończeniem literatury ojczystej łączył wielką znajomość i przywiązanie do literatury rosyjskiej i zachodnio-europejskiej. Dzieła i życie różnych pisarzy były nieraz tematem jego rozmów. Rozmową był wyjątkowo interesującym. Kultura rozmowy dowcipnej, nasyconej myślą, wciągającej partnerów, zmuszającej do kontrowersji – miała w nim swego uroczego wyznawcę. Dla wydarzeń i ocen o ludziach zawsze znajdował ciekawe uogólnienia, poparte cytata, wersem biblijnym, anegdotą, urywkiem wiersza.

Działalność jego skupiała się w ostatnich latach głównie wokół przekładów. Był niewątpliwie najwybitniejszym tłumaczem literatury rosyjskiej w tym okresie, jego przekłady rozchodziły się nie w dziesiątkach, ale w setkach tysięcy egzemplarzy. Tłumaczył prozę klasyków rosyjskich i prozę współczesną, przyswajał polskiemu społeczeństwu utwory, wymagające od tłumacza wszystkich atrybutów tego jakże trudnego zawodu!

Współczesna krytyka literacka nie umiała dostrzec pięknej działalności przekładowej Wyszomirskiego, który był najprawdopodobniej z pisarzy, jakich znałem i znam. Zostawił w dorobku kongenialny przekład powieści Gorkiego „Życie Matwieja Kożemłakina”, zostawił znakomite przekłady z Fonwizina, Gogola, Leskova, Ostrowskiego, Szeźderina, Hercena, Lwa Tołstoja, Czechowa. Niewiele przekład zaopatrzyl w celną przedmowę.

Występował od lat jako doświadczony jesseze z czasów swojej pracy nauczycielskiej prelegent z odczytami o literaturze.

Przygotowywał do druku zbiory felietonów, powieść „Klucz od przepaści”, słownik frazeologiczny rosyjsko-polski jako podręcznik dla tłumaczy.

Nawet w drukowanych drabiazgach cechowała go wyjątkowa wprost zefelność i nie tak u nas częsta troska o doskonałą polszczyznę.

Już między nikomu nie otworzy drzwi swojego mieszkania szczupły, o jakby ascetycznej twarzy, zawsze uprzejmy i życzliwy, gotowy służyć radą lub pomocą – Jerzy!

J. H.

O piątkę ze sprawowania

„Co to jest tundra? – Dzikie zwierze”. „Gdzie leży Kanał Sueski? – W Związku Radzieckim”. (Z pytań i odpowiedzi egzaminacyjnych)

W PADŁA mi do rąk niebywale interesująca lektura – sprawozdania inspektora Zarządu Głównego ZNP z lustracji poszczególnych środowisk nauczycielskich całej Polski. Czego w tych materiałach nie ma! I analiza postawy ideowej nauczycieli, i omówienie trudności, z jakimi borykają się nasi pracownicy kultury, i sprawy czytelniczości, działalności społeczno-politycznej itp. Zainteresowała mnie szczególnie jedna rzecz, o której w tych sprawozdaniach jest raczej mało, mianowicie stosunek szkoły do domu i odwrotnie. W jaki sposób obie te instytucje sobie pomagają, gdzie są tkwiące rozbieżności i jakie są „one natury”?

Sprawa znowu nie taka marginesowa i teraz, choćby z okazji końca roku szkolnego, trzeba się nią zająć. Wprawdzie mówi się o tym dość dużo i na zebraniach rodzicielskich i na radach pedagogicznych, ale w sposób, powiedziałbym, nieco sztywny, ogólnikowy, a może... wstydliwy. Na jednym ze spotkań w szkole dyskutowaliśmy nieco na te tematy. Jeden ze szlachetnych ojców wystąpił z nieoczekiwaną tezą: jak to się dzieje, mówił, że nawet ta młodzież, która w domu zachowuje się „bez zarzutu”, w szkole nabiera złych manier, jest opryskliwa, gburowata itp. Odpowiedział mu drugi rodzic, że winna tu przede wszystkim atmosfera panująca w domu. Jeśli w domu uczeń stykasz inne sady, spotyka się z wręcz odmiennymi opiniami i ocenami moralnymi niż w szkole, to nie należy się dziwić i kończyć podobnym objawom.

Zanosiło się na dość interesującą i burliwą wymianę zdań, tym cenniejsza, że synowokowali ją sami rodzice. Tymczasem wnieśli się w to kierownik i spór został zagłodzony. Ale nie przeszkodziło to kierownikowi wygłosić w parę dni potem „bojowe” i urzędowo nudnego referatu na ten sam temat (poruszone zostało m. in. sprawa nauczania świeckiego i przesądów religijnych). Nikt się nie odezwał, referat nikogo nie poruszył. Inicjatywa rodziców została zgazona. Ot, jak się marnuje okazje!

Ta wstydliwość w poruszaniu niektórych zagadnień jest nierzaz aż żenująca.

Zwykliśmy przy tym całą winę zwać na drugich. Ciesząc się, nikt nie jest bez zarzutu. Wyczytałem w jednym sprawozdaniu, że pewna nauczycielka, ucząca języka polskiego, ma wroga postawę do Polski Ludowej. Koleżanka ta – powiada sprawozdawca – wytworzyła ferment wśród nauczycieli i wśród

dzieci. Mówią o tym następujące fakty: przy składaniu podpisów pod Apelem Wiedeńskim owa nauczycielka powiedziała: „Jestem za religijną, aby takie rzeczy robić”. Nie pozwala zwracać się do siebie w formie „koleżanko” – tylko „pani” („Nie pasam z nikim śnić i nie jestem żoną koleżanką”). Nauczyciele powiadają, że owa pani utrudnia im pracę polityczną, śladami podrywa ich autorytet, że się wyraża o nauczycielach wobec dzieci. Na lekcji języka polskiego pyta uczniów z innych przedmiotów „sprawdzając czy ten pan U. sprawiedliwie postawił ocenę”.

No, cóż? Za dobrze nie jest. Historię tej nauczycielki podałbym celowo. Jeśli trafiamy się tacy nauczyciele, to wpływ złego środowiska jest silniejszy, bo znajduje sojusznika w szkole. Oto, co się dzieje gdy na młodzież oddziaływują dwie sprzeczne ideologie. Ale ze szkołą to inna sprawa. Były czasy, że podręcznik moralności mówił: „za-wczas naucz się być content ze swego stanu”. Owa pani nauczycielka wyznaje widocznie tamtą starą zasadę. Polityczną funkcję szkoły jest dzisiaj wciągać młodzież w procesy życia kulturalnego całego narodu. Stąd i kontrola społeczeństwa jest tutaj o wiele silniejsza i głębsza. Ale co zrobić z domem? Kto, ma zając się oceną atmosfery wychowawczej domu? Jak zorganizować opinię publiczną – związek, organizację, stowarzyszenia, komitety – aby ujawniała i wysydziała obskurantyzm, zacofanie, ślepotę, jawną czy ukrytą urogość? Wszelka tolerancja w tej dziedzinie oznacza rezygnację z wpływu wychowawczego na młodzież, przekazuje tę sprawę środowiskom źle usposobionym wobec naszej rzeczywistości.

Opowiadał mi niedawno, że w jednej ze szkół łódzkich wykryto „Bande Białego Orła”. Należało do niej kilku najmłodszych entuzjastów przugd. Nasi junacy zbierali się w starym, opuszczonym schronie i tam dokonywali podziatu „rupów”: kur, gęsi itp. Zupewnie jak we francuskim filmie „Dzielnica cudów”. Powiadano nawet, że to wpływy filmu. Czyżby tylko?

Mnie się wydaje, że miał rację ów rodzic, mówiący o konieczności ściślejszej współpracy domu i szkoły. Z punktu widzenia interesów szkoły i domu nie można dopuścić do najbardziej tragicznej sytuacji – rozdwojenia postawy życiowej młodzieży. Obliczając procenty niedostatecznych, kłótcie smętnie głowami nad odpowiedziami części młodzieży, wychowującej takie „kwiatki”, jak owe, przytoczone w motto – nie tracimy z oczu jednego stopnia: – ze sprawowania.

KRONIKARZ

W roku 1905 mieszkaliśmy w rodzinnej wiosce, składającej się z sześciorga dzieci oraz matki i ojca przy ul. Miedzianej, w w największym domu tej ulicy.

Ile przeżyłem w tym niewielkim świecie ograniczonym kilkoma ulicami! Wszystkie kamienie nosiły chyba ślady moich bosych stóp i często były ubroczone moją kwią. Wszystkie palce zbijałem o wystające kociołki.

Wówczas chodziłem boso od wczesnej wiosny do późnej jesieni, tak jak i wszystkie robotnicze dzieci. Cyt które z nas wiedziało, czy słyssało o jakichś sandałach czy badoj płótniakach, pepegach na gumowych spodach? Boso biegalo się po ulicach, ganiało po dachach komórek, skakało przez ploty. W ubraniu postrzępionym, lichym, z coju lub płótna.

Inne jest dzisiaj dzieciństwo robotniczych dzieci.

O ubranie, obuwie, kto tam dba mając niewielką pensję? Najważniejsze, to swoboda, a tej miałem ja i moi ówczesni rówieśnicy ponad miarę. Mielismy swobodę, wolność, swawolę. Nikt nad nami nie czuwał. Mama szła do pracy o pół do szóstej rano, a tata jeszcze wcześniej, o piątą i wracał do domu prawie równocześnie przed siódmą wieczorem. Mielismy więc wiele godzin dla siebie — zresztą i wieczorami mama miała do załatwienia tyle spraw gospodarskich, tak samo i tata — skąd więc mieliby czas na troszczenie się o nas. W dni ciepłe, a nawet i zimne, byle pogodne, długo nas wolali przez otwarte okna, nim nas wreszcie zgrupowali na noc w gnieździe rodzinnym. W prawdziwym gnieździe. Mieszkanie nasze o jednym oknie miało około dwudziestu metrów kwadratowych i niczym w zasadzie nie różniło się od innych mieszkań robotniczych. Nie posiadało szczególnego umeblowania. Ot, dwa łóżka, nazywane przez mamę wyrkami, stół, kilka krzeseł, komoda z wielu szufladami, kołyska stojąca między łóżkami i to prawie wszystko.

Minęła zima, kończyła się wiosna. Co mnie interesowało, to częste patroli koczackie po ulicach, a nawet po naszej błotnistej, nie wybrukowanej ulicy Miedzianej. Poza tym moją uwagę zwróciły zebrania w naszym mieszkaniu wielu męczyzn, którzy dużo i głośno mówili.

Przyznaję, mało zwracałem uwagi na te rozmowy, zwłaszcza że mama wypędzała nas z mieszkania. Do domu wracaliśmy tylko wtedy, kiedy chciało się nam jeść, nie i spać, albo w czasie zbyt dokuczliwej niepogody. Pamiętam, właśnie jednego z takich podłych dni zmuszony byłem siedzieć w domu, a nawet mama zapędziła mnie już do łóżka.

W głowach spłyły dwie moje siostry, a w nogach ja ze starszym bratem. W mieszkaniu było kilkunastu męczyzn siedzących gdzie się dało, nawet i na naszym łóżku. Tata mówił coś głośno, zresztą nie słuchałem, nagle moją uwagę obudziły słowa:

— Fabryki będą nasze, kamienice będą nasze. — tata powtórzył te słowa kilka razy.

Usiadłem na łóżku.

„Co ten tata mówi — pomyślałem — fabryki będą nasze, kamienice będą nasze... Jak to?...”

Całą noc spać nie mogłem.

„Fabryki będą nasze, kamienice nasze... Nasze?... To znaczy taty i mamy. — Nie mogłem tego zrozumieć. — Więc jakie to, staniemy się Szajblami?... Będziemy mieli fabryki, kamienice... Kamienice? — Ta myśl oślniła mnie. — A więc nie jedną, ale wiele. To już nie będziemy mieszkali w jednej ciupie, ale tak jak pan gospodarz naszej kamienicy, który na pierwszym piętrze zajmuję sam jeden sześć takich izb, jak sześć rodzin robotniczych. I w dodatku ogródził się od wszystkich lokatorów szklanymi drzwiami... A więc i my będziemy tak mieszkali...”

Nie mieściło mi się to zupełnie w głowie.

Nasze będą kamienice i już nie będę musiał unikać gospodarza, który często krzychał na mnie, przy spotkaniu groził palcem, a nawet potrafił i za ucho wytargać. A teraz, co mi zrobisz panie gospodarzu? Kamienice będą nasze, a więc i twoja też. Ja teraz na ciebie będę krzychał. Już ja znajdę powód. Po schodach musisz stąpać cicho, wodę pompować powoli... Chciałem się koniecznie przed kimś zwierzyć, ale bałem się, by mnie chłopcy nie wyśmiali... Z tatą muszę porozmawiać, zaaptytać, upewnić się, nim radosną nowinę rozpowszechnię u podwórka...

Do niedzieli musiałem czekać, nim skutecznym dowo zamiar. Mama z jednorocznym Jankiem wyszła na podwórkę i usiadła na studni między ko-

WŁADYSŁAW PAWLAK

Miałem wtedy siedem lat

bietami, a pozostałe rodzeństwo korzystając z pięknej pogody rozbiegło się po całym naszym kwartale. Tata pozostał w mieszkaniu. Długo myślałem, nim wreszcie zdobyłem się na odwagę i zapytałem:

— Tato, czy fabryki naprawdę będą nasze i kamienice też?

Tata spojrział na mnie, jak gdyby się ocknął z drzemki — chwilę trwała cisza.

— Tak, będą — odrzekł stanowczo.

Zatkało mnie ze zdumienia.

— To już mama nie będzie potrzebowała robić w fabryce i przeklinać kłanie?

Mama często po powrocie z fabryki narzekała na pracę. W czwartek, na przykład, mówiła o wbiściu się sitzy (czółenka), która narwała pół osnowy. Mama poprosiła majstra, obermajstra, a nawet chodźła do samego Klepsa (ówczesnego kierownika kłani Szajblera) i prosiła, by osnowę urznięł albo szpienerowi kazali naci na nowo naciągać, ale prośby nie odnosiły skutku. Sama musiała wszystkie narwane nici powiązać.

Teraz więc, kiedy fabryki będą nasze, koniec z



Ilustracja z 1905 r.

tym wszystkim. Sam Kleps musi mamę słuchać...

Tata patrzył na mnie i z zainteresowaniem słuchał moich wywodów.

— Fabryki i kamienice będą nie tylko nasze — rzekł — ale wszystkich ludzi, którzy w fabrykach robią i w kamienicach mieszkają.

Począł mi wyjaśniać, jak tylko umiał najprzystępniej całą rzecz — i w końcu zrozumiałem, jak to właściwie ma być, ale raczej to mnie zasmuciło.

— Ty wolałbyś, by kamienice były tylko nasze?

— zapytał.

— Tak.

— Dlaczego?

Zamyśliłem się.

— Teraz jest tylko jeden gospodarz — mówiłem — a później będą wszyscy...

— Jak już fabryki będą nasze, wtedy mama

nie będzie się tak męczyć. Będzie pracowała tylko osiem godzin dziennie. Od szóstej do drugiej, a resztę czasu zuiżyje na gospodarstwo domowe. Wy pójdziecie do przedszkola, a po ukończeniu siedmiu lat do szkoły.

Spojrzałem teraz na tatę uważnie.

— Mama o drugiej wróci do domu? — Uśmiechnąłem się do tej myśli... Więc mam widzieliśmy nie tylko w niedzielę... Szkoła!... Wówczas, żadne z nas nie chodźło do szkoły prócz dzieci gospodarza... Gdy fabryki staną się nasze, to i ja pójde

ci... Trzeba, by wszyscy robotnicy wyszli z fabryki, przepędzili Szajblera i Gajęrowa.

Tata widząc, że zasłuchałem się w jego słowa, tłumaczył mi długo i wyjąśniał, ale już niepotrzebnie. Teraz już nie ścierbił mi język, by lecieć do chłopaków i rozpowiadać wszystko i chwalić się. Teraz rozumiałem, że w słowach taty mieści się inna treść, aniżeli wywyższenie nas, zbagacenie się naszej jednej rodziny, wiedziałem, że chodzi o wszystkie dzieci, wszystkich ludzi. Spojrzałem na tatę z uznaniem, dumą i ufnością... On przecież walczył, a tu u nas w mieszkaniu uświadamiał swoich towarzyszy...

Tego wieczora byłem ojcu posłuszny, jak nigdy, wyszedłem z izby, nie biegałem, głowę miałem rozpaloną od różnych myśli. Rano usłyszałem rozmowę rodziców. Mówili o strajku, tata już do roboty nie szedł i obiecywał dostarczyć mamie coś do fabryki.

Walełem tego dnia z ołowianą głową, jak chory i wyszedłem bez zwykłej ochoty i żywości. Komórki nasze graniczyły z polem Szajblera, gdzie uprawialiśmy najrozmaitsze herce; było ono dla nas wszystkim. Dziś jednak nie gonilem się, nie sypałem piasku do nogawek, by później bawić się w kocz. Siedziałem pod płotem na murawie, wylęgając się na słońcu. Tutaj zastała mnie siostra i kazała iść przedko do domu.

Artysta nieznany

— Tato na ciebie czeka — mówiła. Skoczyłem żywo, w mieszkaniu ojciec obejrzał mnie i rzekł:

— Umyj się. — A kiedy spojrzalem pytajaco, dodał: — Pójdziesz do mamy do fabryki i zanieśiesz śniadanie, ale idź i nie oglądaj się. W bańce będą ważne papiery, oddasz mamie i zaraz wracaj, czekam na ciebie. Przed fabryką jest pełno Kozaków i strażników, idź jednak śmiało; jeżeli zatrzymają, powiesz, że niesiesz śniadanie i za nic nie pokazuj, co jest w bańce. Pamiętaj o wszystkich ci mówię, chcesz chodźć do szkoły, więc spraw się dobrze.

Wyszedłem i już od Wodnej widziałem na Rynku i przed fabryką Kozaków na koniach; niektórzy stali trzymając rumaki za uzdy.

W pierwszej chwili przestraszyłem się, szczególnie, że nikt nie szedł. Wodniak był pusty. Wlokłem się jak popychany, ale pomimo to, zbliżyłem się do Kozaków.

— Ty kudo? — zatrzymał mnie jeden, kiedy już znalazłem się na ulicy wiodącej wprost do portierni fabrycznej.

— Do mamy.

— Stupaj do domu, szcraś! — krzyknął na mnie. Złizłem się, ale przypomniałem sobie słowa taty i nie zawróciłem.

— Ja do mamy ze śniadaniem... Mama poszła do fabryki głodna.

Zbliżyło się ku nam kilku Kozaków. Wypytywali, patrzyli na mnie.

Zawsze byłem mizerny, błądy, chuchro, wyglądałem na mniej lat, niż miałem w istocie. Wzbudzałem politowanie swoim wyglądem.

— Puskaj jęwo — usłyszałem.

— Mamuskie śniadanie taskujesz? — pytał.

Odpowiedziałem poprzez ty. Odwinąłem papier i pokazałem pojdki chleba posmarowane smalcem.

— Stupaj — rzekł ten, który mnie zatrzymał i dotknął lekko koniuszkiem palca.

Ruszyłem naprzód pochlipując, bo z natury byłem nieśmiały i ty miałem na zawołanie.

Do portierni wszedłem bez przeszkód i przez dziedziniec fabryczny skierowałem się do wejścia na kłanie.

W fabryce byłem już nieraz; nosiłem śniadanie, lub też w czwartki po południu chodźłem do mamy po tygodniówkę, kiedy brakło nam na kolację pieniędzy. Najczęściej mama dawała mi rubla i kazała kupić cukru, cały chleb i funt kielbasy. Cały funt kielbasy raz na tydzień, czterysta gramów na ośmioro.

Mama pozwalała mi natykać sitę, a nawet uruchamiać warsztat. Dzisiaj jednak odebrała ode mnie bańkę, chleb i kazała natychmiast wracać.

Wyszedłem z fabryki nie zadowolony i stawiłem się przed tatą, którego zastałem przy oknie. Wychodził ono na Kwelle, doskonale widać było stamtąd Rokicińską, Wodny Rynek, fabrykę mamy, kładź przejeżdżający tramwaj, a nawet można było rozeznac przechodniów.

Tata wysłuchał mnie nie przestając patrzeć przez okno. Zaciekawilo mnie to, dostawiłem krzesło i patrzyłem również. Oczy taty były zwrócone w kierunku fabryki, więc i ja patrzyłem w tamtą stronę.

Przed fabryką, od czasu gdy ją opuściłem, nie zostały większe zmiany. Koczacy to krążyli w miejscu, to waleśali się, niektórzy trzymali konie za uzdy, pozwalając im szczyphać trawę.

Naraz targnął powietrzem ryk syreny Starego Giszetu. Przed fabryką w jednej chwili zakotłowano się. Koczacy dosiadali koni, formowali się. Za bramą, koło portierni, pojawili się robotnicy i robotnicy i kupili się na dziedzińcu; przez otwarte okno dochodziły nas stamtąd krzyki. Nagle brama otworzyła się na całą szerokość i wywalli się ludzie hurmą. Krzyki wzmożyły się, Koczacy siekli najhajkami starając się napędzić robotników z powrotem do fabryki. Robotnicy jednak nie ustępowali, lecz nacierali na Kozaków. Robotnicy tłukli Kozaków i konie bańkami, rzucali kamieniami wyrwanymi z jedni i chodnika biegnącego przed fabryką. Zadałami mi się, że widzę i migocząc w tłumie bańkę mamy. Naraz Koczacy osadzając konie poczęli cofać się, robotników było coraz więcej, wielkim półkolistkim otoczyli oddział koczacki, który nagle nawrócił konie i uskokzył ku Targowej. Tłum posunął się za nim i skupił u wylotu Głównej.

Wtem salwa karabinowa targnęła powietrzem.

WŁADYSŁAW PAWLAK

ANTONI KASPROWICZ

Łódź

Z krwi przepalanej w rudą sadzę, z trudu co twardym krzepł cementem wyrosło dumne miasto tkaczy pokryte czarnym firmamentem.

Powstało nagle, niespodzianie, ponure, groźne w swych rozmiarach i brauningów grzechotaniem po nocach sen płoszyło cara.

A czas jak krew z otwartej żyły spływał w kanały powolutku, aż wierzyły co się zieleniły uschły nad płytką rzeczką Łódką.

Aż głuchą nocą przez ulice, dwie armie, które się miażdżyły, rozgrzane w bojach haubice na kołach kłęski przetoczyły.

Zbudziło się fabryczne miasto odbłaskiem zorzy jaśniejącej, by umęczoną twarz ceglasta przez gęste dymy podać słońcu.

I znów okryte chłuscinami pełne boleści, łez i troski, nad drewnianymi trumienkami poótkle matki stygły woskiem.

Lecz gniew wykrzesał błyskawicę z chmur nadchodzącej nocą burzy. Wyległy strychy i piwnice, pieśń z krwią mieszała się i kurzem.

Ruszyli głodni gdy ujrżeli śmierć wlatującą nad więzieniem, zawrzało miasto, które Feliks przebudził w mroku swym płomieniem.

Umilkły krosna na fabryce uzdami pasów powstrzymane. Szturmował Szczyłem, walczył Widzew przeciw przemocy zbuntowany.

Mężnie się bili głodni tkacze o robotniczą Łódź czerwoną, broczyli krwią i... nieśli z placzem trumnę z dziewczyną zastrzeloną...

* * *

O, drogie miasto, wiele razy krew ta spływała kanałami i krzepła w płytach, pod bandażem nocy rozdartej bagnietami.

I wiele razy tratowane znów podrywałeś się do boju, by dymem, jak za karawanem, w żałobie twarz okrywać swoją.

Lecz kiedy mężczy umierali walcząc o wolność razem z ludem, zdradzony kraj wróg zaczął palić, bombami ryć, ogradzać drutem.

I nastał czas, że dniem grzebali starcy o napuchniętych brzuchach i synów swych, którzy umierali w lochach rozpięci na łańcuchach.

Lecz spod splekanych trotuarów gniew ludu strzelił już płomieniem oberkomandom i koszarom śmierć niosąc, zemstę, przerażenie.

I szukał łódzki tkacz ostony wśród tomaszowskich brzoź, jałowców i dynamitem eszelony wysadzał nocne hitlerowcom.

Więć zadrzał wróg, zaprzysiągł miastu śmierć i zagładę. Lecz z nad Wołgi śpieszyły już z czerwoną gwiazdą zwycięskie, leningradzkie czołgi.

Płyną przez wolne miasto pieśni, pędzą lawety i katusze. Trzasnęły rdzawe bramy więzień i chorzy się zrywali z łożek.

* * *

Gdy poprzez kłęski gęstą sadzę promień przeblysnął złotem szczerym, gdy lud nad krajem przejął władzę i poniósł słońce do suteryn,

ruszyli tkacze z przędzy marzeń cągi wysnuwać i kretony, wyszli zbrojarze i mularze zapal przetwarzać w czyn natchniony

A pod skrzydłami gotębiicy syn tkacza — technik wyuczony w spokoju kreślił na tablicy nowe świetlice, żłobki, domy...

KRONIKA Nr 4

IRENA TUWIM

Antosia i my

(fragment wspomnień)

CZESTO chodziliśmy z Antosią do teatru na popołudniowe przedstawienia. I ona, jak i my tego dnia, od rana była trochę nieprzytomna. Zaraz po obiedzie wkładała swoją granatową „sukienkę“ z wysokim, aż pod brodę koltnerzykiem. zakończonym odświeżnie białą wypustką, i uroczyście zasiadała z nami w siódmym rzędzie krzeseł.

Antosia była raz w teatrze z Julkiem na „Podróży po Warszawie“. Ten spektakl był niewyczerpaną studnią jej humoru, zaśmiewania się, przedrzeźniania, opowiadań przez długie lata, do końca życia.

Podczas gdy po innych kuchniach szło się z prądem czasu i gdy rozbrzmiewały w nich modne, sezonowe walczyki:

Do ciebie płyną te rzewne tony
O wymarzony,
Stodki śnie...

albo:

Ty, ty moje marzenie,
Ty, ty, o ty...

i tyle innych — Antosia pozostawała zawsze wierną kupletom z wodewili Szóbera, a ja za nią powtarzałam:

W kapeluszu z wielkim kokiem
I ze szkiełkiem od pan Pika
Będzie panna strzelać okiem
I zadawać grojse szyk.

Pewnego razu byliśmy z Antosią na „Weselu“ Wyspiańskiego. Postacie Czepca, Zydą, Nosa, Panny Młodej były dla niej źródłem niepowstrzymanego śmiechu, na co publiczność reagowała jawnym niezadowoleniem. Gorzej było, gdy nie pamiętałem już czyje „kajsi, co-si, gdzieś, jaksi“ wywoływały u Antosi dzikie chichoty. Zgorszona publiczność sykała.

Ale widać nieobecny był Antosi tak modny podówczas symbolizm, bo gdy parokrotnym wesołości miął, tłumaczyła mi, ogłupiała i zachwycona, że ten złoty róg i czapka z pawim piórem, to tylko tak, dla niepoznaki przed Moskalami, a to nie innego, tylko Polska, którą ten Jasiek (to znaczy Polacy) przez lekkomyślność zgubił. I dlatego Polska dziś w niewoli, jęczy w okowach pruskich i moskiewskich.

— Najlepiej to jaim jeszcze u austriaków, w Krakowie — mówiła. — Tam i szkoły polskie są, i różne pamiętki, i wszystko co lepsze, to tam się garnie. A w Polsce to nigdy zgody nie było. Panowie kłócili się między sobą, psie ich wiary, o swoje tylko dbali, a z tego to Prusak, Moskal i Austriak w try miga korzystali i Polskę między sobą rozdrapali. Ale czekał! Jeszcze nie wie wiadomo na co komu przyjdzie — kończyła proroczo z ognikiem w swych szarych oczkach.

A nam na placz się zbierało, gdy goście weselni nasłuchiwali tętentu ko-

pyt końskich, i skóra jeżyła się na grzbiecie ze wzruszenia, gdy kilkanaście kolorowych, zaśnieionych par zaczęło obracać się powoli w takt muzyki Chochola.

— Teraz tańczą jak ten strach na wróble im zagra — mówiła Antosia z wypiekami na twarzy.

— Słuchaj, ciarki lecą mi po plecach — szepnęłam bratu.

— I mnie tak samo.

Tak objawiło się pierwsze wzruszenie poetyckie. Dreszcz po plecach był już zawsze nieomylnym znakiem, sygnałem prawdziwej poezji.

Antosia stwarzała inną rzeczywistość, bo ta, która była jej dana, nie wystarczała jej. Jak skrzętna gospodyni z każdego przedmiotu czyniła jakiś użytek, tak i ona każde najbliższe zdarzenie jej ubogiego i naszego nowiutkiego życia obracała na swoją korzyść. Ze wszystkiego od razu powstawała jakaś opowieść straszna albo śmieszna, przeplatana zabawnymi powiędzonkami, mizdrzeniem się, przedrzeźnianiem, które było jej darem. Nie przepuszczała ani jednej okazji, korzystała ze wszystkiego co się nadarzyło, oczy i uszy stałe miała w pogotowiu. To nic, że dorabiała własną fantazją, że koloryzowała — przecież nie o to wcale chodziło. Była twórcą, sprostegawczą, inteligentną i bystrą i dlategośmy ja tak lubili.

Revolucja 1905 roku to była dopiero dla Antosi gratka! Pamiętam jej opowieści o tym, jak to łódzcy robotnicy demolowali monopole spirytusowe, jak ta „monopolka“ lała się po trotuarze i „jak rzeka płynęła wódzła w rynszokach“; o konnych koczach, którzy wjechali w tłum demonstrantów, w machując nahajkami, i jak potratowali „tyle naroda“.

(Dokończenie na str. 7)

LEON GOMOLICKI

BARYKADA na POŁUDNIOWEJ

1. W LESIE gdzieś widać było przeświecające przez zieleni, wywieszone — mimo stanowczego zakazu komitetu partyjnego — samodzielną sztandary. Ich jaskrawa czerwień, pocięta gałęzi młodych drzew, zmieniała charakter czerwonego krajobrazu. Przypominała jesienne, krwawiące jarzębiny, wrzesniowy szkarłat czujących na pierwsze przymrozki klonów. Gdy o zmroku, który wśród drzew zapadał szybciej niż w polu, ich kolor — „kolor krwi” — zlał się z barwą liści i ziemi, ludzie zaczęli związać je i chować do kieszeni lub w zanadrze. A choć wielu już odeszło, kierując się w stronę miasta, tłum, który wylegił z lasu na łagiewnicką szosę, wyglądał okazale.



Rysunek z okresu Rewolucji

Artysta nieznany

Pieśń rwała się, wybuchała w różnych grupach, rytm Warszawiaków i Sztandaru zlewający się w jedną tonację gniewu i nawoływania do boju.

Nagle w dalszych szeregach pieśń się urwała i wtedy, poprzez szuranie nóg i samotny płacz niemowlęcia, przedarł się tętniący kopytami koni. Nad głowami tłumy ukazała się sylwetka galopującego jeźdźcy. Miał melonik na głowie, trzymał się w siodle sztywno, spoglądał wyniosło na zwartą gromadę ludzi.

Koń chrapał i tańczył, aż znalazł się na równej drodze. Wówczas jeździec osadził go i dłuższy czas jechał stępem na przodzie pochodu, jakby umyślnie tamując drogę, póki znów nie wspiął konia ostrogami i szybkim klusem nie zniknął w cieniu pierwszych bałuckich chałup.

Spotkanie to zrobiło przynębiające wrażenie na wszystkich. Zapomniały o pieśni, zaczęło gubić się w domysłach: co to był za jeden? Mówiono: „Przebrany szpicel, zaraz kozaków sprowadzi!”. W jednym tylko wszyscy byli zgodni: w nienawiści, z którą ponuro odprowadzali zagadkowego jeźdźcę.

2.

Pochód który teraz weszła i rozlał się po obu stronach drogi, wciągnął Najdla, porwał i niosł w stronę ciemnych sylwetek domów. Kiedy czoło bezładnie posuwającego się tłumy dosięgło miasta, zapadł już zupełny zmierzch. Ludzie znów się zwarli, szli ocierając się prawie jeden o drugiego. W nieprzerwanym potoku nikt nie był przez dłuższy czas w tym samym otoczeniu. Oto Najdla wyprzedziła rodzina: młoda kobieta z dzieckiem na rękach i jej mąż, niższy od niej mężczy-

zna. Kobieta mijając Najdla właśnie podawała swego śpiącego chłopczyka mężowi, który ostrożnie brał go na ręce.

— Umęczyło się to, cały dzień po lesie ganiało — tłumaczyła ochotczo Najdłowi matka. — W domu samego nie zostawię. Już takie chłopisko, a wciąż go pierśią karmię, odczyć się nie może.

A no, dnia onegdajszego u Kutnera diabli wiedzą jaka zaraza bomb rzuciła — opowiadał robotnik, który szedł utykając, w luźno zarzuconej na ramię marynarce. — Kozacy wpadli, porabiali ludzi, urzędasów z administracji, kto się trafił, nahażką albo szabłą bez łeb i tyle. Kto jeszcze kulą dostał, to choć rozpoznać można, a tamci — szkoda gadać: marmolada!

Idący obok odpowiedział coś w rodzaju: — Już niedługo czekać. — Naj-

Przez jakiś ułamek sekundy Najdel nie mógł zrozumieć, co się stało. Nagle pchnięty z tyłu przez tych, którzy szli za nim, wpadł głową na czyjeś przepalone plecy.

Zatrzymany gwałtownie, tłum zwarł się.

Trudno było oddychać w ścisłości i w tumanie wzbitego kurzu. Gdzieś daleko w przodzie musiało się coś wydarzyć. Ktoś krzychał, potem dobiegły uszu głucho uderzenia, podobne do łoskotu rzuconych na ziemię desek. W tłumie zaczęło się kotłować, jakby ulica, wypchnięta po same domy ludzką masą, doszła do stanu wrzenia. Najdla przycisnęła do ściany.

Raptem znalazł się sam. Jezdnia, która jeszcze niedawno zatłoczona, wydawała się wąską jak dno wąwozu, nagle poszerzyła się pęczniąc garbem, a na jej szarej powierzchni widniały rozrzucone tu i ówdzie podłużne plamy leżących na wznak i na boku ludzi.

Miedzy nimi, parszając i podnosząc łeb, kręcił się koń z żołnierzem na grzbiecie.

Po ulicy, pochylona, z dzieckiem na ręku, biegła kobieta. W dwóch skokach żołnierz dopędził ją.

Najdel przyknął oczy i nim poczuł, że ktoś z boku popchnął go, usłyszał nad uchem zdławiony głos: „Broń!... Ma pan broń?”. Zaciśnął pustą pięść.

4.

Tej nocy Najdel nie zmrzął oczu. Przeraził wyla trąbka pogotowia. W bocznym zaułku majaczył nikiły płomyk latarki. Przy jej świetle jakiś człowiek owijał obnażoną tydkę odcieraną od koszuli rękawem. Na Bałuckim Rynku leżały trzy trupy przykryte rógami. Mały żołnierz z karabinem pełnił przy nich wartę.

Grupka zebranych tu ludzi tkwiła w dziwnym bezruchu. Ktoś cicho szlochał. Ktoś inny mówił zwracając się do żołnierza:

— Po co ludzi mordujecie?... Czy to jest takie prawo, żeby ludzi mordować?

Żołnierz milczał.

5.

Nazajutrz rano strumień porzucanych warsztatów kłębił się w bramach fabrycznych, powoli wsiąkał w ogólny wzbierający nurt demonstracji. Na Piotrkowskiej zaczęło śpiewać. Pieśń biła w ściany domów, w puste okna. Zagłuszała zgrzyt żaluzji szybko zasuwanych w wytwornych sklepach, cukierniach i kantorach handlowych. Zienawidzony świat geszefierczy, bankowców, fabrykantów wydawał się kapitulującą twierdzą. Tłum upajał się łatwym zwycięstwem. Rzucano przekleństwa w wymarłe mury.

Powtarzano: „Będzie krew, zobaczcie, będzie krew. Ileż to wojska sprowadzono!”

Słowa te napawały zgrozą, ale nikt, zdawało się, nie odczuwał strachu. Nie kończące się szare szeregi dażyły naprzód. Pod nogami uwiły się wyrostki. Kępny męczczyzna w rozdarłej koszuli szedł z podniesionymi nad głowę zaciśniętymi pięściami. O twarz jego biła czerwona chusta, którą trzymała w kościastej dłoni kobieta.

To, co nastąpiło zaraz potem, zlało się w pamięci Najdla z masakrą po łagiewnickim wiecu. Tylko że tu tłum był większy i bardziej zagęszczony w wąskim korycie ulicy. Stłoczeni w panicznym ruchu, tłukli pięściami stojących przed nimi. Nad głowami gwizdały kule karabinowe jak uderzenia bąta i to trwało przerażająco długo.

Najdel nie był na przodzie pochodu, gdzie dragoni rozstrzelali bezbronnymi, gdzie kobiety podnosiły do góry dzieci pokazując je mordercom i pałając zabite na bruk; gdzie w powstałej nagle pustce, wśród leżących na jezdni

plaskich ciał i zgubionych czapek i chust, stara matka kłęczała nad ciałem zabitego chłopca... Ale panika, którą obserwował, odrzucony na bok i przyparto do muru, była widowiskiem nie mniej okropnym...

Potem jakby nagle zobaczył, jak na skrzyżowaniu Mikołajewskiej zatrzymał się i powalono wóz chłopski, jak rzucono w poprzek ulicy belki wyciągnięte z szopy stojącej na miejscu dawnej ślizgawki, jak cywile jacyś zrywali druty telefoniczne i przeciągali je przez jezdnię. Twarze, które migwały dokoła Najdla, były błyszczące od potu, usta zacięte, ruchy szybkie, niebezpieczeństwo dodawało im zręczności.

6.

Tak zaczęła się walka.

Nadeszła niespodziewanie, jak wybuch, i nic, nawet strach śmierci, nie był w stanie jej stłumić. Powietrze, którym oddychano w tych dniach było tak rozżarzone, że szablą kozacką, zamiast siać postrach, krzesła iskry bunt. Pozostawiało podsycać ogień, kierując walkę w łozysko rewolucji.

Toteż na lotnej naradzie, która odbyła się następnej nocy w mieszkaniu jednego z towarzyszy, postanowiono wykorzystać nadruż samobrony wznowić nowe barykady i odbudowując te, które wojsko i straż ogniowa zdążyły już rozebrać i częściowo spalić. Mówiono także o bronii, która lada chwila miała nadejść z Warszawy. Należało tylko przetrwać parę dni.

Naradzano się w ciastym pokoiku, na strychu starej kamienicy. Od rozżarzonego w ciągu dnia jak patelnia dachu buchało duszne, suche powietrze. Najdel wysunął się do pasa przez kwadratowe okno: nad perspektywą polyskujących jak pajęczyna dachów wisiła otoczona perlistą poświatą tarcza księżycza. Z daleka dobiegały werble i śpiew żołnierzy.

Ten pozorny spokój, w który jak na dno stojącej wody zapadała się Łódź ze swymi wąskimi ulicami, wydawał się groźny, pełen lęku i cichych kłan po zabitych.

Ktoś z obecnych, wyszedłszy przez okno na dach, aby tam wypalić papierosa, pierwszy zauważył ogień.

— Pali się — powiedział do Najdla. — Patrz! Jak bucha, o tam, za kominem.

W tej samej chwili na dole trzasnęły drzwi. Wchodzący z ulicy ciężko oddychał.

— Jest tu kto? Byłem w redakcji: dwudziestu dwóch na miejscu, ze szpitali przeszło trzysta meldunków...

Nikt nie odpowiedział, tylko z kąta ktoś zapytał:

— Gdzie się pali?

— Knappe podpalono. W mieście podobno monopolki rozbijają. Trzeba coś radzić i to szybko.

— Monopolki niech rozbijają, żeby tylko trunki niszczyły, bo ludziska uchylają się, a pijanych kozacy powycinają w pień...

Wtedy to właśnie zapadła decyzja o budowie barykad.

7.

Wieczorem Najdel dobiegł do ulicy Drewnowskiej, gdzie na tyłach Poznańskiego zorganizował budowę siódmej z kolei barykady. Po drodze obserwował dziwne, nieznane mu, nowe oblicze miasta. Na wydłużonych ulicach chrzęściło pod nogami szkło potłuczonych w nocy latarni. Na jezdni leżał trup rozbrojonego stójkowego. Tuż za rogiem zatrwożona staruszka zwoływała kury, na skrzyżowaniu stał ołtarz zasypyany kwiatami. Najdel przypomniał sobie, zobaczwszy ołtarz, że dziś Boże Ciało. W drodze na Starówkę mijając kościół spotkał procesję, która właśnie z chóragami, dzwonczkami i głośnym śpiewem wyległa na jezdnię.

Z Ogrodowej, idąc przez cmentarz, Najdel przerzucił się na Drewnowską. Tam pod jego kierunkiem zbudowano

jeszcze dwie barykady. Gdy kończyli pracę, u wylotu ulicy, przy rogu Nowomiejskiej, ukazało się kilku żołnierzy czy żandarmów — trudno było rozróżnić w blasku zachodzącego słońca. Ktoś krzyknął na dzieci, które gapiły się na pracujących przy barykadzie, a Najdel wystrzelił ostatnie naboje swego starego Colta. Wróg odpowiedział salwą. Ze ściany posypał się tynk. Żołnierze znikli. Musiał to być mały patrol. Najdel poczekał jeszcze, a potem tylnymi przejściami, przez podwórza i ploty, dostał się na Podrzeczna.

8.

W mieście było ciemno i parno, jak w dusznej piwnicy. Najdel, idąc na oślep w stronę Nowego Rynku, natknął się nagle na człowieka z przewieszonym przez ramię karabinem.

— Stój, bo będę strzelać — zawołał tamten wylekzionym głosem. Warte zbliżyła się. Było ich trzech: cywile, z których tylko jeden miał jakiś muzealny okaz broni palnej. Na rękach ciemniły opaski, pewnie czerwone. Poznał Najdla. Na pytanie o drogę, czy bezpieczna, odpowiedzieli urywaniem śmiechem:

— Cicho siedzą. Spróbowali na Południowej, draństwo. Nie tylko żeśmy ich odepierzyli, jeszcze jeńców im zabrali, generała kozackiego. W klatce siedzi, jak ten kanarek.

— Żeby głupstw nie narobili — zaniepokoił się Najdel. — Idę tam właśnie.

— Odniesie pozdrowienie, powiedzia, że Starówka się kłania — pożegnali go wesoło towarzysze.

9.

W „kwaterze”, czyli w którymś parterowym mieszkaniu zajętym przez sztab barykady na Południowej, Najdel znalazł tylko jednego towarzysza, który spał, wsparty lokciami o ciepłą, pokrytą gazetami kuchnię. Powstańca, który Najdla przyprowadził, obudził śpiącego szarpnięciem za ramię:

— Towarzysze delegat przyszedł...

Obudzony otworzył nieprzymknięte oczy, przegarnął włosy, wytarł spoconą we śnie twarz i wymamrotał:

— Co, jaki delegat? A, to pan... to wy, towarzysze. Siadajcie. — Pierwsze jego pytania dotyczyły innych barykad i broni. Najdel natomiast zaczął wyłuszczać, co myśli o jeńcu-jenerale.

— A niech go jasny piorun spali, tego satrapę, kiedy tu taki gips. Co z tego, że rusznice na żandarmach zdobyliśmy, piachem je czy jakimś innym błotem każe nabijać? Wolaliśmy na wiecach: pobijemy wroga, a teraz chudo wyglądamy, kolego. Lada duren nam powie: ładne słówka potraficie zalewać, a jak co do czego gołym zadkiem świecicie. Dusza boli.

— My nie zabijamy bezbronnych — powtarzał Najdel — zostawmy to im... Nie tędy droga do zwycięstwa. Winien nie człowiek, tylko system; czy nam to wam powtarzać? Niech idzie do diabła i opowie swoim jacy jesteście...

— On, gadzina, opowie — oburzył się towarzysz. — Zaraz nam tu kozaków sprowadzi. I tak się czają dokoła, tylko gorącej smoły się boją, diabły... A no, towarzyszu warta, sprowadźcie tu całą czołówkę, delegat nam sytuację wyjaśni — krzyknął w kierunku wpół uchylonych drzwi.

Za drzwiami stuknął o podłogę karabin i ktoś wyszedł na klatkę schodową. Towarzysz urwał kawałek gazety i skreślił w żyłastych palcach grubego papierosa. Palce miał żółte od stolarskiego bejcu. Zapaliwszy, dużymi krokami podszedł do okna i uderzył dłonią w ramę. Rama drgnęła i popłynęła na zewnątrz. Drgnął również płomyk w naftowej lampie, zawieszanej na gwoździu nad kuchnią. Za oknem zaznaczyły się szare kontury przeciwnych kamienic.

Towarzysz stał z przechyloną na bok głową, nasłuchując.

— Słyszysz? — powiedział. Najdel usłyszał wyraźnie dochodzące z daleka krzyki, łudząco podobne do krzyku bawiących się dzieci. Ale nasłuchując tych dziwnych odgłosów, poczuł jak cierpie mu skóra.

— Co to? — zapytał.

— A to bestie. Ludzi po domach wyrzynają. A my tu... — Towarzysz zaciśnął ciężką pięść. — Pięściami mamy walczyć! Ech!

10.

Przyszła „czołówka”, jeszcze czterech towarzyszy z surowym wyrazem w zapadniętych, błyszczących gorączkowo oczach. Na ich twarzach można było odczytać ślady nieprzespanych nocy, okrutne piętno walki, wzniosłe i zarazem niszczące. Dwaj z pośród nich byli to pepesowcy, Najdel pamiętał ich z zebrani międzypartyjnych: — wymknęli się swej „górce”, która odseparowała się od walk barykadowych, i przystąpili razem z masami do powstania.

— Wschodnią czyszczą — powiedział jeden ponuro.

— To do nas się dobierają, satrapy — dodał towarzysz, którego inni nazywali Czerwonym. — Urządziły im baby łaźnię piekielną, z gorącą smołą. Teraz się mszczą, a zarazem oczyszczają

BERTHOLD BRECHT

Hymn dzieci

Nie skąpiecie trudu ni uroku,
ani rozumu, ani żaru,
by dobre Niemcy kwitły wokół
jak każdy inny dobry naród.

Jak przed rabusiem by przed tobą
narody już nie błądły więcej,
lecz tak jak innym w krąg narodów
i nam też podawały ręce.

Nie „ponad wszystko”, nie poddani,
wśród ludów żyć nam w sposób godny,
pomiędzy morzem i Alpami,
od brzegów Renu aż do Odry.

Ze dzięki nam się lepszym staje,
kochany kraj i go chronimy
i tak nam drogi się wydaje
jak innym ludom ich rodzimy.

Przełożył
STANISŁAW JERZY LEC

ją sobie drogę. A my tu mamy bezczynnie słuchać tej muzyki. Ot, delegat do mnie z buzią, jak śmiemy wiezić jęwo wysokobagorodzie, kozackiego jenerała, że niby brukamy przez to szaty rewolucji. Puśćmy jagniatko na wolność! Tylko tyle kłopotu! Ile nam zostało nabołów, może kto powie?

— Jeszcze wczoraj można było uderzyć na cyrkuł i zafasować amunicji — odezwał się najstarszy, siwy tkacz. Najdel spotykał go również na nara-dach partyjnych. Siedział wyprostowa-ny i mówił ze skupioną powagą: — To żaden generał. To nasi go tak prze-zwali, bo wszyscy żandarmy noszą te jak ich tam, czerwone pasy na port-kach. A pal go diabli, to jakiś rotnistrz z cyrkułu. Nikt go nie morduje, a sie-dzi, bo to podnosi na duchu chłopaków. A że się dobiera do naszej skóry, drąstwo, to dobiera. Jak osacza na-okół domy, dopiero będą nas mieli w garści.

Najdel stał na tle białej ściany, jak-by do niej przyparty. Co mógł powie-dzieć tym ludziom? To, co mówił wszę-dzie, że należy przetrwać jeszcze dzień — dwa, póki nie przysłał amunicji.

— A bo przysła? — nieufnie rzucił tkacz. Najdel przenosił kolejno wzrok na inne ciemne twarze: pięć par oczu wpatrywało się w niego z tym samym pytaniem. Nie dostrzegł w nich jednak wiary, dostrzegł natomiast nieme wy-rzuty:

— Ech, gdyby towarzyszy nam tu za-miać słów przydzwigał skrzynię nabo-łów! Spalimy się jak słoma, nie ma co!...

11.

Wyszedł z dusznego mieszkania. Na podwórzu w czworokacie barykado-wych spali ludzie wprost na kamie-niach; kto miał — ścisnął w rękę kara-bin. Wyjrzał dalej, na pustą ulicę, zro-bił kilka kroków zbliżając się do uło-żonych w poprzek jezdni worków.

Czy to pod wpływem ich bielej odcinającej się od bruku, czy że zaczynała się już szarówka, Najdel odniósł wra-żenie, że wszystko dookoła nabiera ta-jemniczego blasku. Worki, kamienie bruku, chropowate ściany domów, własne jego ręce — wszystko promie-niało dziwnym, błękitnozielonkawym światłem, jakby wydobywającym się z wnętrza przedmiotów.

Stał czując na ramieniu chłód muru. Z tyłu piętrzyła się ciemna była ba-rykada. Przed nim za pasmem przeci-nających jezdnię worków czał się sil-ny, okrutny wróg.

W szarym migocącym mroku przeła-mywała się noc i zbliżał się nowy, brzemienny w wypadki dzień.

Najdel wysłał słuch, ale tętno krwi w skroniach zlewało się z milczeniem przedświt. Zdał sobie sprawę, że już od kilku sekund obserwuje jakieś poruszające się w cieniu plamy na ścianie kamienicy, zaraz za linią wor-ków. Nim zdążył uświadomić sobie niebezpieczeństwo, szare widmowe kształty zamajaczyły zupełnie blisko, tuż przy samych workach. Ale zamiast cofnąć się i zaalarmować towarzyszy,

dzony w jednym z pokoiów na parte-rze, skorzystał z zamieszania i zbiegł otworzywszy okno. Zresztą sytuacja była teraz tak skomplikowana i niepo-myślna dla walki, że mało kto zwrócił na to uwagę. Każdej chwili mogło na-stąpić natarcie i wtedy odcięta od resz-ty miasta barykada była skazana na najgorsze. Przyjął rozpaczliwą walkę znacząco sprowadzić niebezpieczeństwo na kobiety i dzieci.

Zapadła decyzja wycofania się po da-chach zanim rozwidni się na dobre. Po-wstańcy, nieświadomi tego, co się dzia-ło na innych barykadach, ludzili się, że przejdą na nowe pozycje, ratując pozostałe naboje do walki. Decyzję przyjęto nie bez wahania, po długich, burzliwych sporach.

Opuszczając barykadę zostawiali ran-nych towarzyszy, których ze względu na ich ciężki stan nieposób było zabrać z sobą. Ranni ci leżeli w mieszkaniach zabarykadowanych domów.

Wycofać się oczywiście trzeba było w ścisłej tajemnicy, aby nie wywołać paniki. Niekiedy z powstańców nie mogąc jednak ukryć wzruszenia brali na ręce dzieci i całowali je mokrymi wami: matki z ufnym uśmiechem po-wierzały im swe żywe skarby...

13.

Aby nie być świadkiem tych scen, Najdel skierował się w stronę bramy. Z trudem lawirował między leżącymi pokotem: powietrze było parne i ludzie woleli gołe kamienie od dusznych kła-tek schodowych i piwnic.

W bramie zobaczył wyrostka, który siedział oparty o ścianę z wysoko pod-giętymi kolanami. Takich chłopców by-ło dużo na barykadzie, wydawało się, że zbiegli się tu z całej dzielnicy. Wszy-stko ich pasjonowało — i sama budowa barykad, i czerwone opaski powstań-ców, i przede wszystkim broń, strzały i inne akcesoria walki. Trzeba było stałej uwagi, aby powstrzymać ich od wychodzenia za granicę umocnień, pod kule.

Chłopiec, śledząc Najdla uważnym spojrzeniem, uprzedził go:

— Niech pan nie idzie. Tam baki te-raz latają!

Istotnie, gdy tylko zrobił krok w ciemną przestrzeń między murem ka-mienicy a barykadą, nad samą skronią przeraźliwie bzyknęło. Drugi pocisk wyrł się w syki tynek ściany tuż przy głowie Najdla. Cofając się odruchowo zorientował się szybko w sytuacji: poli-cja, opróżniony pobliskie domy, zajęła pozycje na dachach. Musiało to stać się całkiem niedawno, może przed kwa-dransem.

Barykada, nie odpowiadająca na te zaczepne strzały, wydawała się bez-władnym ciałem martwego olbrzyma.

— Czy tam nikogo już nie ma? — mruknął Najdel, zapomniawszy o chłop-cu.

Chłopiec z poważną miną podniósł kamyczek na duży palec bosoj nogi, przełożył go na drugą nogę, pociągnął nosem i dopiero odpowiedział:

— A kto ma być? Oddają barykadę. Najdel przeraził się: wiadomość, któ-ra miała być tajemnicą, stała się jesz-cze przed odwołaniem powstańców pow-szechną własnością.



Z. Głowacki — Przywódcy SDKPiL

cem jej ożywioną twarz. Szła pięknym jak w tańcu krokiem między siedzący-mi na ziemi kobietami, — silnym ru-chem nagich ramion podstawiła im garnek pełen gorącego napoju i nachy-lała się ku dzieciom, aby zająrzeć z bli-ska w ich ufnie, zaokrąglone śmiechem oczy i powiedzieć im wzrokiem coś ra-dosnego i bardzo ważnego.

Najdel, zapatrzony w dziewczynę, nie zauważył towarzysza Czerwonego, który przechodząc obok ścisnął go za łokieć. Miało to być poufnyim przypomnieniem szczegółów o drodze odwrotu. Stracił na chwilę z pola wi-dzenia dziewczynę, ale szybko odnalazł ją oczami. Obrócona do niego plecami, klęczała nad starszą kobietą, która mu-siała zasłaniać; zdjęła z głowy chustkę i przykładała ją — pewnie zwilżoną — do czoła chorej. A kiedy, wysmukła i lekka, wyprostowała się, pierwszy od-blask słońca musnął złotym ogniem jej nieprzykryte, jasne włosy.

15.

Właśnie nad ciemną studnią podwór-za, zapelnioną szarym, głucho gwarzą-cym tłumem, zaczęły zapalać się od wschodu jedna po drugiej szyby okien. Najdel usunął się pod okragłe sklepie-nie starej bramy, nasłuchując złowro-giej ciszy ulicy. Nie rezygnował jeszcze z dołączenia się do powstańców, ale zwlekał.

Trwało to zapewne jakiś ułamek se-kundy, bo właśnie w tej chwili, z pierwszym promieniem słońca, zaczęło się natarcie. Ulicą wstrząsnęła potężna fala eksplozji, a nad barykadą uniósł się do samych dachów kamienie słup płomieni i dymu.

Odrzuconego do tyłu Najdla otoczy-ły kłęby czarnego pyłu. Z pięt spłyły się odłamki wybitych szyb, leciały ka-walki gzymsów i tynek. Na podwórzu rozległy się krzyki kobiet, płacz dzie-ci.

— Armaty, armaty! — wołano w pa-nice. Niekiedy rzucali się do piwnic, ale strach, że dom może się zawalić, gnał ich z powrotem na podwórze. Nie-dawne miejsce schronienia stało się zdradziecką pułapką.

Wtedy to dziewczyna, którą przed chwilą z uwagą i zachwytem obserwo-wał Najdel, rzuciła się w stronę bramy. Widział, jak zatrzymała się na chwilę przed na wpół zburzoną budo-włą barykady i zaczęła wdrapywać się na nią tam, gdzie wyrwa tworzyła kształt wgłębienia. Pod jej nogami ob-suwały się pokręcone i wygięte żelazne sztaby, sypał się piasek z rozprutych worków, wreszcie znalazła się w miej-scu, skąd musiała być widoczna od strony ulicy. Stała tam i podniosła do góry ręce, pokazując, że są puste, bez broni. O ściany domów odbił się jej krzyk:

— Tu dzieci... dzieci! Nie strzelajcie! I krzyk ten, wysoki i przenikliwy, podobny był bardziej do krzyku ptaka niż człowieka.

Najdel biegł ku niej, ale zatoczywszy się runęła na wznak. Dopadł dziew-czyni, kiedy jej ciało, zatrzymane przez wystające belki, zawisło w powietrzu...

16.

Odniesiono ją do pokoju, zdaje się tego samego, gdzie Najdel rozmawiał z towarzyszem Czerwonym, a w którym znajdowali się teraz razem z rannymi wzięci do niewoli powstańcy. Dziewczyna powoli konała. Najdel sie-dział przy niej, jak przy kimś bar-dzo mu bliskim... Dopiero, gdy nad ra-nem zaczęła się strzelanina i barykadę ponownie zajęli robotnicy, wziął kara-bin.

Leżał na zburzonej barykadzie obok towarzysza Czerwonego, który znalazł się wśród zdobywców robotniczej twierdzy. Zdażył mu jeszcze opowie-dzieć o kobietach, dla których udział w walce był trudnym, ale jedynym wyj-sciem z więzienia niewolnictwa i nędzy. Miał wciąż przed oczyma obraz dzie-wczyny stojącej na barykadzie z pod-niesionymi do góry rękami.

Zależało mu bardzo na odpowiedzi. Ale towarzyszy Czerwony zaczął wargi i milczał. Z boku, Najdel widział tylko jak przejął mu się muskuły pod uchem na dolnej szczękę — a więc zaciskał zęby, sposobnie gotowy do strzału ka-rabin.

Zginął nawet nie drgnawszy, nie wy-dawszy jęku. Pocisk trafił go w czoło. Leżał jak żywy, ścisnął w rękę broń.

LEON GOMOLICKI

Pisarze polscy o roku 1905

Eliza Orzeszkowa

Chwila to jest w pełni przedrewolucyjna, lecz to ją od innych podobnych w historii chwil odróżnia, że składają się na nią w ca-łem pgniście dwa pierwiastki, dwa wulkany, dwa huragany: po-lityczny i społeczny, do których w kraju naszym przybysza trzeci: narodowy. Przedchwila to jest nie jednej rewolucji, jak bywało np. w Anglii, we Francji, ale naraz dwóch i trzech. Naród prze-ciwi władzy rządzącej, naród przeciw narodowi, nieposiadający przeciw posiadającym. Kipiło to i podnosiło się ku powierzchni od dawna, od lat dziesiątków; klęski wojenne przyspieszyły wy-buch. Otworzyły one oczy na wartość dotychczasowego porządku rzeczy, odsłoniły wszystkie rany, słabości, występki, podrzuciły w górę głowy nurtowane milczącymi myślami, wypuściły z serc strugę czerwonych gniewów i pożądań. Nagromadzona w chmu-rach elektryczność błyska, grzmi i słychać nadchodzące pioruny... Co moment jakieś koło w maszynie życia publicznego staje; dziś fabryki, jutro koleje żelazne, pojutrze biura telegraficzne, tele-foniczne, bankowe itd., a gdy już kolej przejdzie, zaczyna się na nowo: fabryki, koleje, biura, telegrafy, tramwaje itd. Całe ty-godnie przemijają dla miast bez oświetlenia gazowego, bez dzien-ników (w Warszawie dwa razy stawały drukarnie), bez materia-łów opałowowych, bez chleba. Ale ten ruch robotniczy jest bardzo poważny, spokojny i obok stanowczości wymagań posiada pewien zarys szlachetnej godności ludzkiej.

Stefan Żeromski

Przelewająca się krew w Łodzi, to, o czym tu czytam we włos-kich dziennikach — powinno być lustrem, w którym się przejrzy każda partia, każdy człowiek publiczny, piszący, przemawiający... Niech zdania i słowa przejrzą się w tym lustrze i niech przera-żenie wtłoczy w gardziel podłości słowa i zdania.

Andrzej Niemojewski

Kiedy wyobraźnię towarzyszy zapalały wypadki, jakie się rozgrywały w Petersburgu, w Rewlu, w Sewastopolu, w Charko-wie, kiedy zwolna zasklepiła się dziejowa rana nienawiści do ludu rosyjskiego, kontrrewolucja ranę tę rozrywała na nowo i jatrzyła wymysłami: „Moskal was zdradzi!”, „Moskal urządzi tylko prowokację, aby tem łatwiej wziąć was potem za łeb”. A równocześnie przychodziły wiadomości, jak się ta kontrrewolucja płaszczyła w Moskwie przed ziemcami, jak wyrzekała się sejm-u ustawodawczego, zadawała się „lokalnym”, jak w swoich pi-smach występowała przeciwko powszechnemu głosowaniu, jak zwalczała wszystkie bezrobocie i jak haniebne stanowisko zajęła w sprawie bojkotu szkoły rządowej. Ale jeśli się coś udało, to natychmiast podawała to za swoje, zasypywała kraj chmurą odezw „o nowych zdobyczach” wciąż udzielając dyrektyw, któ-rych nikt nie słuchał, a które tylko spory partyjne zaogniały. Kie-dy bezrobocie się już utrwalilo, ogłaszała, że jest ono jej dziełem; kiedy postanowiono je zakończyć, wieściła, że stało się to z po-łecenia ich komitetu narodowego.

Władysław Stanisław Reymont

Poniedziałek (30. X.)

Bóg wre bez pardonu, bez miłosierdzia, w ponurym milczeniu śmierci nikt taski nie żąda, czasem jednak zagrochocą salwy, zerwie się krzyk mordowanych i znowu cisza zmagają...

Idę na włóczęgę gdzie oczy poniosą:

Aleje Ujazdowskie martwe, nieco trupie, twarze zaleknione, ruchy niepewne, w oknach zastony; Nowy Świat wzbudzony — jakże?... Handel przecież ustał. Krakowskie Przedmieście zdet-erminowane, trzęsawiejsze, ale bez nadziei, Marszałkowska tłuma, oczy świecą pewnością, prawie gwar, jęczą tylko właściciele; świata własność nie cierpi rewolucji... Stare Miasto podobne do ula, kipi urzawą i ruchem, w kościołach pełno zapłakanych twarzy. Dzielnica wzbudzona, po bramach kłótnie, lud zdenerwo-wany nędzą i głodem...

Na Placu Zamkowym natknąłem się na kondukt żałobny. Je-dnokolony karawanik, prosta trumna, a za nią kobieta zapłakana i kilkoro dzieci trzymających się za ręce...

Idę na krawiec miasta. Dzielnia, Smocza, Chłodna, Żelazna — sam prawie lud roboczy, spokój zupełny, wiara bezwzględna, twarze zacięte, blade, uśmiechy zdecydowania, nastroj walki a nędza wstrząsająca...

— Nadzwyczajny dodatek Kuriera!

— Manifest, Konstytucja!

Ale miasto ani drgnęło.

Wolność! Wstawajcie!...

Naraz na rogu Żurawiej i Placu Aleksandra patrol się zjawił, bagnety jadłowitymi żądlami zastąpiły nam drogę i ochryply głos zaskrzeczał:

— Cześć szlajetieś? Poszli won, a to w uczastok itd.

To była pierwsza sygnaturka „wolności”.

Środa (1 listopada)

Miasto już pijane uniesieniem. Wszędzie nieprzeliczone tłumy, ciasno na trotuarach, tłumy idą środkiem ulicy, zbierają się na placach, wrzawa rośnie, śmiechy strzelają jak race, radość po-nosi...

„Wolność! Wolność!”

Na Marszałkowskiej, na Krakowskiej i na Nowym Świecie trudno się już przecisnąć, nieprzeliczona ciżba posuwa się krok za krokiem, faluje, kołysze się, a wciąż jeszcze przybiera, gdyż bocznice jak wartkie dopływy wyrzucają nieustannie nowe tłumy...

W ostatnich brzaskach dnia Leszmem od Okopów płyną zwarte i karne kohorty ludu roboczego, na przedzie czerwienią się szta-n-dary; idą mocno aż ziemia dudni pod stopami, i dumny, hartow-ny w bojach śpiew grzmi niebosięnie:

„Nasz sztandar buja ponad trony!”...

Bije orkan potężnych głosów, a każda strofka jak brzęk pęk-ających kajdan, a każdy rytm jak huk kilofów w granity, jak piorun gniewu i jak słodki hejnał o świataniu wolności; idą blade, jak zorza świtu, idą niezmożonym, świętym hufem trudu i walki...

Pochody się spotykają, sztandary się chylą, łączą się dtonie — Niech żyje wolność. Niech żyje Polska!

Patrole przesuwają się cicho, obchodzą pochody z dala, jak głodne wilki, oficerowie — dwuracą oczy, policja się pochowała. Było dość jeszcze wczesne, kiedyś powracali do domu.

Na Brackiej, na Mazowieckiej było prawie pusto, gdzieś-gdzie i najspokojniej rozmawiano przed bramami. Miałem już skrócić na Królewską, gdy jakiś ryk nieludzki wstrząsnął powie-trzem. Od Wierzbowej wysunął się jakiś człowiek z okropnym krzykiem, a za nim drugi, trzeci, dziesiąty...

— Mordują na Placu Teatralnym! — rozniósł się lotem błys-kawicy.

Nie jestem zdolny o tym pisać. Widziałem potem tę rzeźnię ludzką, krew mi się ścina na wspomnienie, wzgarda dusi, gniew obeszprytomnia. Ohydny mord bezbronnych! Zbrodnia z góry ułożona i wykonana na zimno. Zbrodnia wołająca o pomstę.....

A oto spis tego dnia do zapamiętania:

— Mordowali na Złotej!..

— Mordowali na Przechodniej!..

— Mordowali na Placu Bankowym!..

Tak się oto zakończył ten pierwszy dzień wolności.



Artysta nieznany — Masakra na Placu Teatralnym

Najdel wciąż tkwił w miejscu, obez-władniony strachem, jak to bywa tyl-ko we śnie.

Nagle dobiegł go słaby głos dziecka: — Mamu, to tu! Mamu, chodź no chytko!

Teraz na tle bruku zarysowała się sylwetka pochylonej kobiety tulącej do piersi zwiniać. Obok szamotała się w przydługiej, zapewne ojcowskiej kurtce druga, mała postać, sięgająca zaledwie łokcia kobiety. Za nimi wy-nurzały się inne, zbite jak ślepy w niezdecydowaną, pędzoną lekimi grup-ke.

Byli to pierwsi uciekinierzy, którzy szukali schronienia na barykadzie.

12.

Nad ranem zebrali się ich tu dużo, bardzo dużo, całe rodziny, przede wszystkim kobiety z dziećmi. Przyszły tu, im nie można było odmówić im opie-ki, mimo że walka w tych warunkach stawała się niemożliwa. Całe to roz-krzyczane obozowisko z beczącą dzia-łwą i tobołami, snujące się tam i z po-wrotem, tamujące przejścia i zalegają-ce podwórza, krępowano ruchy pow-stańców. W dodatku jeniec-oficer, osa-

14.

Bardzo strapiiony tym wszystkim, gubiąc się w niepewności, jak właści-wie należy postąpić. Najdel wrócił na podwórze.

Tu powoli wszczynął się ranny ruch. Niekiedy jeszcze spali, ale kobiety, które mieszkaly w tym domu, zorgani-zowały posiłek dla uciekinierów i za-częły roznosić parujące garnki z kawą i cienką zupką. Jedna z kobiet, zwinna i przystojna dziewczyna, zwróciła szcze-gólną uwagę Najdla.

Była ubrana bardziej niż biednie: ja-kaś wypłowiała sukienka i stare pan-tofle na bosą nogę, chustka zawiązana z tyłu głowy, odkrywająca szyję i ma-łe kształtne uszy. Obserwując nie-raz podobne młode istoty, Najdel znał ich wystraszone, krótkie spojrzenia. Cóż mógł przynieść los takiej biednej dziew-czynie, dla której własna uroda stano-wiła największe niebezpieczeństwo! Lecz tu, w niezwykłych okolicznościach — jakby na barykadach już zostało wprowadzone prawo wolnych i silnych ludzi — dziewczyna nabrała pewności spojrzeń i ruchów. Świadomość, że nie-sie ulgę, że pokrzepia na duchu cierpi-ących, rozjaśniała uśmiechem i rumień-

W latach okupacji, wśród zapomnianych swoich rękopisów przedwojennych, odnalazł Aleksander Rymkiewicz*) jeden, który go zapewne uderzył — niezwykłością odbijających się tu przeżyć. W tym rękopisie, pochodzącym ze spokojnych na pozór lat, myśl przewodnia tak została sformułowana:

...I napisałem wtedy w letni wieczór,
że ziemia jest tylko wspólną mogiłą...

Ta myśl mogłaby streszczać w sobie główne stanowisko Rymkiewicza. Urodzony w roku 1913, wybitny poeta z grupy „Zagorów” opublikował w roku 1936 tom pt. „Tropiciel”. Od razu zarysowała się własna, wyraźnie określona, odcięta od otaczającego ją indywidualność poetycka.

„W biegnącym rytmie rozwinę przed tobą tragiczne obrazy” — pisał poeta w „Pieśni wstępnej”. Wyobraźnia podsuwała obrazy, które wiązało z rzeczywistością poczucie grozy i smutku. Człowiek ukazany na kartach tych zbiorów poetyckich był tropiony przez



pomnianym wierszem „Kolumna Zygmunta”, czyli sierpień 1939”. Sugestywna poetycko konstrukcja tego poematu ukazuje jakby wizję podwójną. Placu Zamkowego w dniach zniszczenia

WOJCIECH NATANSON DROGA POETY

siły kosmiczne, a równocześnie i ziemskie („śmierć rozżarzona gaśnie na wargach”), „już zatępniony pieśnią jak okręt”. Przyczyną tej ustawicznej myśli o śmierci było zapewne nie tylko przeczuć wojny, ale i przekonanie, że śmierć, zagłada stanowią istotny sens wszelkiego bytu. Przemika ono i drugi zbiór wierszy Rymkiewicza „Potoki” (Wilno 1938):

Być może że mną godziny tej czeka
Ten, co mi gardło podetnie zbier...

Nawet piękno świata nie może przećmować tego poczucia klęski.

Na gmachy patrzą, sądy, place
z ufnością — młodych dni uciechą
— i widzę w przyszłych wód strumieniu:
pochody, luty ponad strzechą
a koni kwik i dzwony miast
i młotek słysz zawadzenie.

I oto nadchodzi lata wojny. Autor „Tropiciela” i „Potoków” przebywa w kraju. Zdaje się one początkowo potwierdzać myśl dawną, że „ziemia jest tylko wspólną mogiłą”. Ale osobliwym obrotem rzeczy właśnie wojna zaczyna zmieniać obraz świata, który sobie przedtem ustalił poeta. Nie wydaje się rzecz przypadek, że wiersze pisane podczas okupacji i wydane w r. 1947 noszą tytuł „Z narodem”. Przejścia wojenne spotęgowały w dawnym Zagaryście poczucie wspólności ze społeczeństwem. Groza i śmierć odbijają się nie tylko w obrazach, które nasuwa indywidualna wyobraźnia i osobista wrażliwość — są własnością wspólną. W tej „wspólności”, zaczyna się rysować możliwość ratunku.

W miarę narastania przeżyć wojennych możemy coraz wyraźniej odczytywać przeobrażenia myśli poetyckiej. Poprzednio odczuwana groza zmienia się w świadomość solidarności z tradycją poetycką, której przykładem jest piękny wiersz „Ze Słowackiego”, z krajobrazem i jego specyfiką, z ludem, z ruchem oporu.

Ewolucja, jaką przebywa myśl poetycka Rymkiewicza, zbliża się do swobodnej i żmudnej koleiny. Właśnie szczerze, zachowanie swej indywidualności, nie pozwalają na jakąś nienaturalną łatwość czy szybkość. Wydaje mi się jednak, że można uchwycić kierunek przemian. Na odbudowanej ziemi, w latach które przysłyły po parokształnym wojennym, poeta odzyskuje zdolność afirmacji tego, co mu się wydaje radością i pięknem życia. Choć i poezja jego jest jak najdalej od łatwego optymizmu, choć w nowych wierszach nie brak zarzewia dramatycznych konfliktów — Rymkiewicz nie mógłby już teraz swej myśli zmieścić w zdaniu, że „ziemia jest tylko wspólną mogiłą”.

Oto przykłady. „Warszawskie cegły” (1951) zaczyna się pięknym, niez-

*) Aleksander Rymkiewicz, „Poezje wybrane”, Sp. Wyd. „Czytelnik”, str. 216. Cena zł 12.

i poprzez nią — wizję tego miejsca z ostatnich chwil przedwojennych:

Zlatują wróble na ulice puste,
i tramwaj jeszcze po szynach nie dzwoni.
Spi ufnie miasto. Spi spokojnie, miasto
nie w twojej mocy przyszłość przysięgać
i stadem domów do ucieczki rzucać.

— Kiedyś po latach morderstwami rylch
spotkam u twojej przestrelonej skroni
nie ludzi, lecz pulki szerokie chwastów.
Idą, zielone, rozpinnają broń
jakby głosili: ludzie, wasze dzieje
padły, a po nich nosze pulki wieją.

Ale z tego właśnie zestawienia życia i ruiny — wyłania się poetycka afirmacja odbudowy.

Przykład drugi. Już w dawnych wierszach przebliskuje wrażliwość na piękno jezior. Obecnie motyw ten się potęguje i rozrasta, zostaje wykorzystany do pięknych osiągnięć poetyckich — jakimi są cykle Rymkiewicza na temat jeziora mazurskiego. W wierszu „Pod szponem mewy” obraz poezji nie drapieżny i okrutny ukazuje, jak różnorodny sens mogą mieć zjawiska przyrody:

Pod szponem mewy lini male jezioro
Gdy mewa z powietrza uderza śmiało
by chwycić, jak rybę, jezioro male
jezioro szerzej swe wody rozlewa
Wstrząsnęła swój lot, podrywa się mewa.

Przykład trzeci: W roku 1948, na krajowym konkursie olimpijskim otrzymał Rymkiewicz jedną z nagród za utwór „Polarna ballada”. W kilka lat później ukazał się cały cykl sportowych wierszy Rymkiewicza „Niebrojni zwycięzcy”. Odnosi się sama tylko pochwała sportu była tematem wszystkich tych wierszy. Ich myśl przewodziła dobrze streszczając tytuł: „Niebrojni zwycięzcy”. Sport jest bowiem formą walki nie obliczonej na zwycięstwo przeciwnika, a więc zawierającej — afirmację życia.

Wydany przez „Czytelnika” zbiór „Poezji wybranych” stanowi cenny dokument biografii poetyckiej jednego z naszych najbardziej utalentowanych liryków, o którym się pisze zbyt mało. Przejścia poetyckie Rymkiewicza rzucają ciekawe światło na nasze życie literackie, ukazując jak może się pogłębić świadomość pisarska — przy równoczesnym zachowaniu indywidualnego stylu, własnych form i zdobyczy, o które poeta zaczynał walkę już w zbiorach młodzieńczych. Lektura „Poezji wybranych” Rymkiewicza jest więc pasjonującą przygodą duchową. Byłaby ona może jeszcze bardziej pociągająca, gdyby wydawca zaopatrzył tom w objaśnienia dotyczące biografii pisarza, dat opublikowania zbiorów i poszczególnych wierszy (daty te zjawiają się tylko wyjątkowo), oraz okoliczności, w których owe utwory powstały. Wydawca, jak dobre biuro turystyczne, nie powinien zaniedbywać niczego, co by ułatwiało czytelnikowi wyprawę. **WOJCIECH NATANSON**

WIKTOR LITYŃSKI

Przeciwko szmirze

GLADAŁEM kilka widowisk organizowanych przez „Artos” — przemianowany ostatnio na „Estradę” — i byłem zupełnie zdezorientowany. Nie rozumiałem, o co właściwie chodzi: o spektakl trupy wędrowniej najlżejszego gatunku, czy też o nabijanie ludzi w butelkę. Sądziłem, że są to wypadki odosobnione, lecz obserwując od kilku miesięcy pracę zespołów terenowych „Artosu” dochodzę do wniosku, że mamy tu do czynienia po prostu z żerowaniem na naiwności wiejskiego widza.

Widz wiejski przyjmuje strawę duchową w tej formie, w jakiej mu ją podają. Dlatego też terenowym zespołom ani na chwilę nie wolno zapominać o misji, jaką obarczyło je społeczeństwo. „Teatr Ziemi Łódzkiej” pojął to już od dawna i stara się w miarę swych skromnych możliwości, wycho-
wować „swego” widza na wartościowym materiale literackim i artystycznym. Rzecz jasna, że nie zawsze mu się to udaje, ale dobre chęci wyzyskuje się chociażby w doborze repertuaru i staranności pracy zespołu aktorskiego.

Niestety, inaczej przedstawia się sprawa z pracą zespołów terenowych „Artosu”; już sam repertuar, jeśli chodzi o wieś, jest w przeważnej mierze chybiony. Spójrzmy chociażby na „Farsę o mistrzu Pahelein”. Problematyka wsi francuskiej XV w., a zwłaszcza staropolski język przekładu Adama Polewki, są nawet dla bardziej zaawansowanego widza miejskiego niezrozumiałe;

coż dopiero mówić o publiczności wiejskiej?

Byłem niedawno na zamkniętej premierze wódewilu Wojciecha Drygasa pt. „Dziura w moście”, który jest drugim z kolei utworem scenicznym tego młodego i utalentowanego satyryka. Sztuka ma błędy, nie można jej jednak odmówić humoru, dowcipu i pogody. Przy odrobinie dobrej woli i rzetelnej pracy aktorskiej dałoby się z niej stworzyć naprawdę przyjemne widowisko, „ku rozrywce i nauce” publiczności wiejskiej. Reżyser Stefan Walden posłał jednak po linii najmniejszego oporu, dopinając aktorów do szarży, graniczącej z kłounadą „rudych błaznów cyrkowych.”

Jezeli jakiś aktor w Łodzi lub w Warszawie pozwala sobie czasem na „przebieganie pały”, grając „pod publiczność”, to u widza wyrobionej fakt ten budzi, co najwyżej, uczucie niesmaku. Gdy robi się to jednak przed niedoświadczonym audytorium, mamy do czynienia już z wyraźnym nadużyciem, gdyż adresat przyjmuje niezgodnie z „grą” za dobrą monetę. Jest to z gruntu zła robota polityczna i kulturalna.

Nie wiem, kim jest reżyser spektaklu Stefania Waldenowa. Wiem natomiast, kim jest kierownik artystyczny zespołów terenowych, Jerzy Walden. Znam go sprzed wojny jako wybitnie uzdolnionego reżysera i pobłażliwość jego wydaje mi się niezrozumiała. Przecież „głównym inżynierem” każdego

teatru jest kierownik artystyczny i on właśnie przede wszystkim odpowiada za jakość spektaklu. Przyjmując spektakl od reżysera, kierownik artystyczny potwierdza jego wartość i przydatność. Tak jest na całym świecie.

Raz jeszcze powracam do „Teatru Ziemi Łódzkiej”. 1 kwietnia br. odbyła się premiera komedii przeznaczonej dla wsi pt. „Konkurs”. Był to debiut dramatyczny znanego poety łódzkiego, Mariana Piechala.

Tematycznie i formalnie nie jest ona ani gorsza, ani lepsza od wódewilu Drygasa „Dziura w moście”. Jest to bezpretensjonalna, lekka komedia mająca na celu zabawienie widza i trzeba przyznać, że autor — dzięki czystej i uczciwej pracy reżysera Łasewskiego oraz całego zespołu — osiągnął zamierzony efekt. Można za pewne dyskutować z reżyserem co do „czytelności” niektórych sytuacji, można mieć pretensję o wykładnię, niekiedy wątpliwą, pewnych kwestii. Na ogół jednak intencje autora dochodzą do widza w nieskazanej formie. A przecież możliwość szarżowania i gry „pod publiczność” była w tym wypadku aż nadto kusząca. Należy przede wszystkim reżyserowi za zasługę, że czuł nad czystością widowiska, eliminując najdrobniejszą sposobność taniego efekciarstwa. Tym samym podciągnął zespół do poziomu starannej gry, dając w sumie bardzo poprawne widowisko.

Istnieje jeszcze jedna odmiana widowisk „estradowych”, już w samej Łodzi. Są to tzw. „koncerty” zlecone, urządzane głównie w świetlicach zakładów fabrycznych, gdzie odbiorcą tego rodzaju „sztuki” jest robotnik. Widziałem kilka takich „koncertów” i śledziłem reakcję publiczności. Mogę przytoczyć charakterystyczny wypadek, który jasno naświetlił wartość podobnych imprez.

W lutym, na Balu Prasy, zapowiedziane były między innymi występy artystów „Artosu”. Podczas trzeciego numeru publiczność spontanicznie zaprotestowała, zmuszając wykonawcę do zejścia z estrady. „Koncert” musiano przerwać.

Dziękuję się to na Balu Prasy. W jaki jednak sposób robotnik może obronić się przed tego rodzaju „koncertami”? W jakim celu są one organizowane? Czy chodzi tu o mechaniczne „odfajkowanie” kolejnej pozycji planu, czy o pracę kulturalną wśród mas? Rząd nasz łoży miliardowe sumy na cele kulturalne. Za tak słoną cenę mamy prawo domagać się — mówiąc językiem kupieckim — jakościowo dobrego towaru.

Problem teatru dla wsi i prowincji jest naprawdę poważny, ażeby można było przejść nad tą sprawą do porządku dziennego. Aktor takiego zespołu spełnia niejako rolę wychowawcy, często-kroć ważniejszą od roli zawodowego nauczyciela. Nauczyciel wychowuje młodzież, a zasięg działalności aktorskiej obejmuje wszystkich widzów bez względu na różnicę wieku.

I jeszcze jeden aspekt: w Polsce rozrasta się na olbrzymią skalę ruch teatrów amatorskich. Nie zamierzam roz-wodzić się nad znaczeniem politycznym i kulturalnym tych ochotniczych zespołów. Wskazuję jedynie na fakt, że teatr zawodowy winien dla nich stać się wzorem, jeśli chodzi o poziom ideologiczny, staranność gry i czystość spektaklu. W przeciwnym razie wy-wiecznia zespółom świetlicowym niedźwiedzia przysługę.

Dlatego też uważam, że kierownictwo imprez estradowych powinno poddać rewizji całokształt swojej dotychczasowej działalności, poważnie zastanowić się nad odświeżeniem swoich kadr aktorskich i reżyserkich a przy doborze repertuaru zapewnić sobie współpracę odpowiedzialnych konsul-tantów.

WIKTOR LITYŃSKI

TADEUSZ SZEWERA

List schematyczny

OPATRZ jak to „schemat” — rurociągi Łódź-Pilica, który za 145 dni dostarczy wody do Two-go miasta. Pięćdziesiąt kilometrów od Ciebie, nad brzegami leniwą, przez wiele dziesiątków lat niedostrze-ganej rzeki Pilicy, powstał plac budowy. Różni ludzie tu przyjeżdżowali. Niemal z całego kraju. Przyszli i ci „schematyczni” bohaterowie pozytywni, którzy nie skalali się żadnym brzydkim czynem, którzy, jak Dzilewicz, Pawlik, Krzysztofolik, Wenderdam, noszą w kłapach miniaturki orderów i odenak przodowników. Przyszli też i tacy, których życie wyrzuciło już omal że za burtę. Ich dewizą było „mój dom to cały kraj” nie będzie dobrze tu, pójdzie się gdzie indziej. A więc „czarne charaktery”, których nie chłano przyjąć do pracy już w żadnej tomaszowskiej fabryce, ponieważ mieli na swym koncie zbyt dużo nagan, ba — nawet wyroków za kradzież przędzy!

Przyjmowano tych „czarnych” z adnotacją w ankiecie personalnej, a jedno-cześnie mówiono: dobrego ciężkie życie nie zepsuje, złego nawet świetlica nie naprawi. Wierzący wprawdzie opieko-wano się „czarnymi charakterami”, ale nie na tyle, by ich odciągać od wódki i „wesołych zabaw”. Niewiele sobie po nich obiecywano. Kierownicy budowy mieli zresztą rację, różnie z ich robotą bywało. A jednak nadszedł czas, który jeśli nie zmienił całkowicie tych „czarnych”, a „pozytywnych” nie złamał, to przecież na pewno poważnie zaważył na ich życiu. Było to zimą ubiegłego roku. Budowano „podziemne jezioro” — zbiorniki i osadniki wodne. Taki zbiornik podziemny trzeba zbudować w ciągu jedenastu dni, nie wolno na chwilę przerwać betonowania, ponieważ potworzył się na skutek wysychania kruche miejsca, co grozi nieuchronną katastrofą.

Może był to właśnie „schematyzm” naszych czasów, ale bodaj go spotykać na każdym kroku! Jedenaście dni i noc-y! Ci, dla których budowa rurociągu

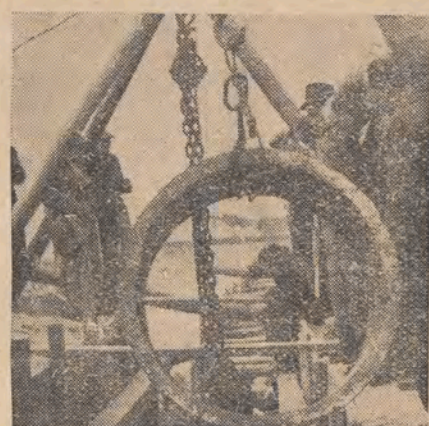
stała się jedynie chwilowym przytuli-skiem, nie odchodzili do domu. Ci, którzy kończyli zmianę, szli natychmiast do baraku lub zostawali pod ziemią i myśleli, jakby tu ulepszyć robotę. „Czarni” pociągali tyk wódki na roz-grzewkę, bo mroź był siarczysty, i wraz z inżynierem Gertychem obmyślali ru-chome rusztowania, wózki własnej kon-strukcji, dźwigi. „Podziemne jezioro” powstało w terminie.

A to inne „schematy” znał Pilicy. W tomaszowskim Muzeum przez szkło gablotki obejrzeć można trzy rzeźby Władysława Zaka ze wsi Brudzewice w powiecie opoczyńskim, a obok kilka chabup wiejskich i wspaniałych młyn wodny z wszystkimi urządzeniami, wy-konane przez Antoniego Kaczmarka ze wsi Radzice, także z powiatu Opoczno. Kiedy zapytałem oprowadzającego, z jakich czasów pochodzą te eksponaty — odpowiedział mi: z 10-lecia Polski Ludowej. Patrząc na te arcydzieła z drzewa, jak urzeczone, a pracownik Muzeum w skrócie opowiedział mi bio-grafię obu ludowych artystów. Wła-dysław Zak miał lat 12, gdy wyszła spod jego pastuskiego kozika rzeźba „Ojczyzny zakutej w kajdany niewoli”. W dwa lata później przybyła do Mu-zeum rzeźba, przedstawiająca „Sąsiad-kę w stroju regionalnym”, niebawem

zaś trzecia „Orka”. A co z młodocia-nym rzeźbiarzem? Władek Zak zapo-wiada się jako doskonały rzeźbiarz. Kończy Wyższą Szkołę Sztuk Plasty-czych w Łodzi, a może już ukończył. Antoniego Kaczmarka, tego co to bu-dował domki i młyn, też już nie ma na wsi. Zabrano go do Ministerstwa Kul-tury i Sztuki i tam ponoć prowadzi wielki warsztat, w którym robi się właśnie dla muzeów miniatury domów i całych wsi. Chłop się podobno ze wzruszenia popłakał, kiedy przyjechał po niego przedstawiciel Rządu. Ani mu się marzyło, że na starość spotka go taki splendor.

Tyle notes reportera. Lecz jakże mu-siały być wzruszające drogi do ukocho-nej sztuki — wiejskiego chłopca Zaka i starego Kaczmarka.

Chciałbym zapisać jeszcze jeden tyl-ko „schematyczny” fakt. Na rynku w Tomaszowie stoi pomnik Tadeusza Ko-ściuszki. Wystawili go mieszkańcy To-maszowa i okolicy w hołdzie Wielkie-mu Polakowi — jeszcze przed wojną. W czasie wojny hitlerowcy skazali go na zniszczenie. Żydom zgromadzonym w getcie nakazali zdjąć posąg z cokołu i rozbić na drobne części. Ze łzami w oczach, zaciśniętą pięścią, patrzyli to-maszowianie na wóz wjeżdżający w



Układanie ostatnich metrów rurociągu

bramę getta. Potem Żydów wymordo-wano, getto spalono. Minęły trzy lata i oto w dniu, w którym Armia Czer-wona wkroczyła do Tomaszowa, wjeżdżał na chłopskim wozie z drugiej strony miasta pomnik Kościuszki. Prze-chowali go chłopcy z okolicznej wsi, do-kad ukradkiem, nocą, przenieśli go bezimienni już Żydzi.

TADEUSZ SZEWERA

trzecie spotkanie

BYŁO to moje trzecie spotkanie z Rogerem Vailland. Po raz pierwszy zetknąłem się z nim czytając jego „Dziwną zabawę”, zaś drugie spotkanie związane było z wystawieniem w Polsce sztuki Vaillanda „Pulkownik Forster przyznaje się do winy”. I wreszcie trzecie spotkanie. To bezpośrednie.

Zobaczyłem go w łódzkim klubie dziennikarskim wśród międzynarodowej grupy prasowych sprawozdawców towarzyszących Wyświeltowi Pokoju. Był podniecony gigantyczną imprezą sportową, na jego smagłej twarzy malowało się ożywienie.

— Nigdy nie wyobrażałem sobie, ile najlepszych cech ludzkich wyzwała sportowe współzawodnictwo — powiedział do mnie, gdy spytałem, w jakim celu jedzie z wyświeltiem. — Widzę w tym temat dla pisarza.

Rozmowa nasza wkrótce odbiegła od spraw sportowych, gdyż obaj na tym gruncie nie czuliśmy się nazbyt pewnie. Przeszliśmy do tematów literackich. Vailland interesował się bardzo łódzkim przedstawieniem „Pulkownika Forstera”, którego nie widział. Dwa lata temu, za poprzedniej bytności w Polsce, oglądał tylko spektakl warszawski z Kreczmarem w roli tytułowej.

— No a polska dramaturgia współczesna? — spytał Vailland. — Czy mieliście ostatnio jakiegoś ciekawego premiera?

Wspomniałem o „Juliuszu i Ethel”, o „Roku 1944” Kuśmierka i — po chwili wahania — o „Maturzystach” Skowrońskiego, których widziałem ostatnio w warszawskim Ateneum. Przegląd ilościowo nie wypadł imponująco. Dodatem, że w naszej dramaturgii nie dzieje się najlepiej. Nie wiemy wciąż jeszcze odrzucić mieszczańskiej skrupy.

teatr bez pamięci

KTOKOLWIEK w Polsce zajmował się historią teatru, ten doskonale wie, jakie olbrzymie trudności nastrocza badaczowi zbieranie materiałów. Na ten stan rzeczy złożyło się wiele przyczyn, m. in. ciężkie warunki egzystencji naszych scen w okresie zabórów, brak systematycznej prasy teatralnej, a przede wszystkim ciągle kataklizmy wojenne, doszczętnie zmiotające z powierzchni ziemi zbiory bibliotek i archiwów czy prywatne kolekcje miłośników teatru. Były to niewątpliwie fakty obiektywne, ale nie brakło i subiektywnych, wyrażających się w lekceważeniu czy niedocenianiu dokumentów teatralnych przez samych ludzi sceny. Stąd też nie lada pracy dokonał Estreicher i inni badacze, którzy ocenili od zapomnienia strzępy wiadomości o dawnym teatrze polskim.

Zdawałoby się, że dziś te sprawy przedstawiają się zupełnie inaczej, tzn. dużo lepiej. Przecież dumni jesteśmy z każdego odnalezionego śladu narodowej kultury; wielkim nakładem środków i z niezwykłym pietyzmem odbudowujemy z ruin stare miasta. Tymczasem kto sądziłby, że równie troskliwe przechowywanie się materiałów historyczno-teatralnych, byłoby cudownym natywem człowiekiem. Bo co też znajdzie historyk teatru (nie tego sprzed 50, ale sprzed 5 lat) w dzisiejszym teatrze? Kilka afiszów, kilka programów, kilka zdjęć, a wszystko to z ostatnich premier. W najlepszym razie będą jeszcze gorzej czy lepiej uporządkowane wycinki z Dokumentacji Prasowej,

Vailland kiwnął głową.

— Rozumiem. Ja to nazywam problemem łatwego życia. Wasi pisarze gubią często perspektywę walki. Bo przecież i wy toczyście walkę; choć przejawia się ona inaczej niż u nas. U nas walka rozgrywa się już w sferze naskórka. Weź mój przykład. (Vailland, zwyczajem komunistów francuskich, używał w rozmowie formy „ty”). Od paru lat mieszkam w wiosce oddalonej o 150 kilometrów od stolicy. Czy wiesz, co to znaczy? Czy wiesz, jak dokładnie czujemy cały ogrom spoczywającej na naszych barkach odpowiedzialności? Za wszystkich. Za całą wieś. W czasie zbierania podpisów pod apelem wiedeńskim spełniałem funkcję agitatora. Każdy uzyskany podpis to była dla nas mała wygrana bitwa.

— Jakże mieliście przy tym trudności?

— Bywało, że drzwi otwierała nam służąca. Tłumaczyliśmy po co przyszliśmy. „Patrona nie ma w domu. Przyjdźcie później” — mówi służąca. „No, a pani? — pytamy — czy pani nie jest przeciwna wojnie i bombom atomowej?”. A ona na to: „Ja nie nie wiem. Jak patron podpisze, to i ja podpiszę”. I nie nie jest w stanie przełamać jej uporu.

— Łatwiej było chyba w domach robotniczych?

— Nie zawsze. Często robotnicy mówili tak: „Nie chcę wojny, nie chcę nowego Hitlera, ale nie podpiszę. Mój podpis nie ma żadnego znaczenia. Świsstek papieru ich nie zatrzyma”. I jak trudno im było nieraz wytłumaczyć, że jeden podpis — to nie, ale setki milionów — to siła. I tak, widzisz, codziennie budzę się do nowej walki. Chodzimy oboje z żoną po domach, mówimy z

które stanowią podstawowy i nieomal jedyny materiał informacyjny tych pseudo-archiwów. Nie chcę być gołosłowny:

Kiedy zapytałem sekretarkę kaliskiego teatru o dane z pierwszego powojennego sezonu, spojrzała na mnie z dość zakłopotaną miną, jak gdybym zadał niedyskretnie pytanie w rodzaju: ile sobie pani liczy wiosen. Po żartliwym myśkowaniu w sterce zapisków udało mi się metodą śledczą wyłowić kilka fragmentarycznych wiadomości. Inny przykład. Łódzki Teatr Nowy, gdzie okazuje się dużo zrozumienia dla tych kwestii, nie posiada afiszów z pierwszych przedstawień, które oglądaliśmy anno domini 1949. Ten skandaliczny brak usiłowania uzupełnić sekretarka, mozołnie rekonstruując zaginione afisze.

Jak wiadomo, wszystkie większe biblioteki gromadzą programy i afisze teatralne; robi to także Biblioteka Narodowa w Warszawie. Wystarczy poprosić tam o komplet afiszów, aby się nacznie przekonać, w jakim stanie znajdują się dokumenty sprzed blisko stu lat. Przykro odwołując się do wzorów obcych, ale trzeba by zobaczyć niemieckie „Theater-Zettel” z końca XVIII wieku, znajdujące się w Miejskiej Bibliotece w Gdańsku, by powstydzić się własnego archywalstwa. Nie piszę tu o wszystkich archiwach teatralnych: być może, że w całej Rzeczypospolitej znajduje się jeden sprawiedliwy; nie podaję tu jednak słuszności tych spostrzeżeń.

Częstochowa nieznana

PRZECZ 20 lat międzywojennych było w Częstochowie z wieczorami autorskimi „aż” 3-ach pisarzy. W Polsce Ludowej, w ciągu półtora roku tylko, odwiedziła ją ponad 40-tu autorów, przy czym każdy wystąpił na dwóch i więcej wieczorach. Różnica imponująca, choć w mieście wspomniale rozwijającego się kombinatu metalurgicznego im. Bolesława Bieruta wciąż jeszcze niewystarczająca. Dziś Częstochowa posiada blisko 170 tysięcy mieszkańców, 2 wyższe uczelnie, 3 sceny teatralne, orkiestrę symfoniczną, kilkanaście szkół średnich, a w najbliższym czasie ma się stać podobno miastem wojewódzkim.

Wiele spotkań literatów z robotnikami i budowniczymi kombinatu — to niezapomniane przeżycia i dla autorów i dla słuchaczy. Szczególnie gorąco przyjmowała gości młodzież liczących tu szkół zawodowych. Szkoda tylko, że zaproszeni na wieczór autorski literaci upadli jak po przysiółkowy ogień, nie zainteresowali się bliżej życiem i pracą hutników, budowniczych kombinatu oraz rozwojem kulturalnym Częstochowy. Za mało było również spotkań pisarzy z młodzieżą szkół podstawowych, ogólnokształcących i ze społeczeństwem miasta i powiatu. Klub Literacki winien błąd ten w najbliższym czasie naprawić: nie ograniczać się tylko do sprawozdań pisarzy na dorywcze wieczory autorskie, lecz wciągać do akcji upowszechniania literatury pięknej — dawnej i współczesnej — szerszy aktywny kulturalny, szczególnie zaś polonistowski średnich.

Na pomoc Klubu czekają szkolne koła literackie i robotnicze talenty w zakładach

pracy. Do Klubu Literackiego i Wydziału Kultury MRN raz po raz dobijają się świetlice zakładowe z prośbą o wieczór literacki. Skromne fundusze przydzielane Klubowi na te cele przez Zarząd Główny Z.L.P. nie wystarczają. Czasem z pomocą finansową przychodzi Wydział Kultury czy świetlica, w zasadzie jednak kierownictwo Klubu Literackiego, zamiast organizować życie literackie, musi przede wszystkim walczyć o pieniądze.

* * *

Częstochowa jest największą, obok Nowej Huty, dumą naszej „Sześciolatki”, a nasze pisma i sami pisarze mało zajmują się jej sprawami. Każda hala, każdy blok mieszkalny, całe wielkie miasto — jego historia i teraźniejszość — to żywa książka. Prawdziwych, pełnokrwistych twórców nowej Częstochowy mamy w życiu setki, jeżeli nie tysiące, zaś na kartach książek pisarzy współczesnych z trudem odnajdziemy jednostki.

O częstochowskiej budowie ukazały się zbiorki reportaży T. Kurka i M. Jarochowskiej. Trzeba było widzieć radość ludzi odnajdujących w tych utworach siebie, swoich bliskich, znanych miastu całemu i krajowi — budowniczych. Skromne, bezpretensjonalne reportaże stały się dla wielu czytelników drogowym szkicem życiowym. Nie można tego, niestety, powiedzieć w pełni o poświęconej Częstochowie książce świętego reportaży — B. Wiernika.

W dyskusji nad „Podróżą na trzecią planetę” robotnicy wytykali autorowi za-



Roger Vailland

ludźmi aż do ochrypnięcia, własnoręcznie rozlepiały afisze. Partyjny pisarz musiał u nas spełniać rolę także i szeregowego aktywisty. U was jest pisarzem łatwiej żyć. Mogą najlepszą część energii poświęcić piśmiu. Ale łatwość życia przerażała się często w swoistą trudność. Opiewać pałose waszej walki można tylko wtedy, gdy pisarz wyzwolił się z tradycyjnej statki pojęć. Gdy dopatry się elementów walki i elementów piękna w zjawiskach, obok których za czasów dawnego ustroju przechodził obojętnie. Tak, wam jest i łatwiej, i trudniej.

Ostatnie słowa wypowiedział Vailland już w hollu hotelowym, dokąd go odprowadziłem. Jeszcze tylko uścisk dłoni: moja godzina z Rogerem Vailland dobiegła końca.

Na marginesie Salonu Wiosennego

W dwóch tle oświetlonych pokojach mieści się wiosenna wystawa prac członków okręgu łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków. Szersze jej omówienie zamieścimy w 5 numerze „Kroniki”, tymczasem pragniemy zasygnalizować wręcz niewiarygodne warunki, w jakich odbywa się ekspozycja dorobku twórczego naszych plastyków. Okazuje się, że jeśli z tych czy innych względów lokal Ośrodka Propagandy Sztuki jest dla plastyków niedostępny — nie ma już w Łodzi miejsca, w którym mogłyby pomieścić się jako tako ich obrazy, rysunki i rzeźby.

Co prawda, nie wydaje nam się, aby sytuacja istotnie była aż tak tragiczna. Gotowi jesteśmy wskazać co najmniej kilka lokalów oddanych w służbę kultury a świecących permanentnie pustką — wystawa prac plastyków mogłaby się w nich z powodzeniem pomieścić. Rzecz jednak w tym, że żaden z „czynników” urzędowa zainteresowanych sprawami kultury w Łodzi nie podsunął plastynom tej prostej myśli. Mamy nadzieję, iż w przyszłości będzie już lepiej, tym bardziej, że zaczęło już w Łodzi działać Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, które — wolno mniemać — zainteresuje się sprawami plastyki nie z urzędowego obowiązku, lecz z przekonania i entuzjazmu dla sztuki.

W roku bieżącym Towarzystwo zamierza współdziałać ze Związkiem Plastyków w organizacji wielkiej loterii dzieł sztuki, zajmie się sprawą rozbudowy galerii wystawowej, organizować będzie stałe odczyty i dyskusje z dziedzin sztuki plastycznych oraz wieczory poświęcone zbliżeniu artystów plastyków z mieszkańcami Łodzi.

Mamy nadzieję, że przy pomocy Towarzystwa sprawa plastyki w Łodzi ruszy z martwego punktu zawodowo-urzędowych opłotków i stanie się bliższą całemu społeczeństwu. Mamy nadzieję, iż następna wystawa wiosenna prac plastyków nie będzie się gnieść w dwóch pokojach bez kuchni. (es)

„Mazury i Warmia”

Ukaż się numer 1 pisma społeczno-kulturalnego „Mazury i Warmia”, poświęconego problematyce tych ziem. Z prawdziwą przyjemnością należy powitać narodziny tego miesięcznika: bogata i swoista historia i teraźniejszość Mazur i Warmii domaga się szczególnej uwagi i opracowania. Pierwszy numer „Mazur i Warmii” pozwala przypuszczać, że Kolegium Redakcyjne widzi właściwie stojące przed nim zadania. „Pragniemy, aby nasze drukowane słowo przyspieszało proces wzrostu świadomości narodowej u Mazurów i Warmiaków. Z drugiej strony chcemy pokazywać tym, którzy tu przybyli, bogatą w tradycje historyczną przeszłość naszego regionu. Uczyć wszystkich miłości do Ojczyzny” — tak określa zadania pisma słowo wstępne.

Antosia i my

(Dokończenie ze str. 3)

„No to stupa!”... A mamusia to aż się całowała ze mną, żem tego mydła żwego i całego do domu przyprowadziła. Ten dar gawędziarstwa, który tak łatwo może znudzić cierpliwych nawet słuchaczy, był u Antosia okraszony do wciśnięciem, ożywionym własnym, żywym i barwnym słownictwem.

Czemu na przykład zjawiający się na podwórzu z katarzyniarzem ni to kuglarz, ni to muzyk, ni akrobata — wynedziały brudas z olbrzymim na plecach bębnie przetykniętym rżniętymi do ręki i do nogi, wirujący w takt muzyki jak bak, czyniąc owym bębniem i dzwonkami piekielny hałas — nazywał się w języku Antosia „holladryja”? Jakież soczyste i mięsiste słowo! Ile ma w sobie rozmachu i wiru! Jak oddaje wolność i nieskrępowanie tego zawodu! Ile w tym energii i rozpędu!

Czemu, gdy byłam smutna i marnotna, nazywała mnie „Gabrysia”? Dlaczego w przystępie humoru mówiła o mnie „halama”? Gdy Julek był mały nazywała go, zbytnika i łobuza, faflem warszawskim, a potem, gdy był szóstoklasistą, gdy z zapalem oddawał się esperantu i czytaniu poezji, mówiła z pogardą: „Jemu to nic w głowie, tylko ten eksperant i Staff.”

Na każdą okoliczność miała zawsze jakieś powiedzonko, przysłowie, rym, jakieś jej tylko znane porównanie: „skrzywiła się szpyrka w grochu”, „upudrowana jak mól w mace”, „łubi go jak psi dziada” albo „Żyd koniowi ucieki”. Gdy chleb był cienko krajany, mówiła, że „Kraków widać”, gdy zjawiał się rudy tapicer Otto, witała go na progu: „Otto wlaź w błoto”. A te jej „niewiśszczasem”, te „cimcimci, garczki drutowa”, te „jojki” i „ryż i nys” i „cieciolina” — figle i żarty słowne, od których roilo się w jej mowie.

Od czasu do czasu Antosia urządziła nam tzw. przedstawienia. Polegało to na tym, że siadaliśmy na kanapie w jadalni i byliśmy publicznością, a Antosia wychodziła na chwilę z pokoju, stawała za drzwiami, gdzie chrząkała i przybierała odpowiednią pozę i minę — po czym, już jako Antosia, tylko zapowiedziany ktoś, zjawiała się na progu. Przedstawienia były rzadkie i odbywały się od wielkiego dzwonu. Na nasze prośby i błagania: „Antosiu, przedstawienie, przedstawienie!” — ni by to drożyła się, nie chciała, nie miała czasu, ja jednak wiedziałem, jaką przyjemność sprawiało jej to miżdrzenie się, wcielanie całą swoją istotą w kogoś innego.

Historyczne tradycje Mazur i Warmii znajdują w numerze odbicie w artykule Andrzeja Wakara „Niektóre problemy pięćsetlecia” i w opowiadaniu K. Ruczyńskiego „Poselstwo”. Nowela Witolda Zameckiego „Traktorysta” podejmuje trudny i ważny problem repolonizacji autochtonów: fragment dramatu T. Gutkowskiego „Sojusznicy” przypomina okres plebiscytu z roku 1920. W wierszach Gis-gosa i Al. Rymkiewicza, w licznych fotografiach i reportażach, odbija się urok i piękno mazurskiego pejzażu, życie kulturalne tego regionu. Słowem — numer interesujący. Gorąco życzymy „Mazur i Warmii”, by dalsze numery pisma realizowały słuszne i ambitne zamierzenia Kolegium. Wiernym, że pismo będzie „uczestniczyło w przemianach zachodzących w Krajinie tysiąca jezior” i stanie się „własnością wszystkich, pomagając w życiu i pracy”. (S)

Koniec pewnej mistyfikacji

Wraz z Francją świat cywilizowany obchodzi 10-lą rocznicę śmierci Juliusza Verne’a, autora świetnych powieści fantastyczno-naukowych, przodka modnego dzisiaj gatunku zwanego „fikcją naukową”. Ze twórcą „Dzieci kapitana Granta”, „20.000 mil pod wodą”, „Tajemniczy wyspy” i innych „podróżach niezwykłych” jest ciągle ulubionym pisarzem młodzieży (i dorosłych), świadczy o tym fakt, iż nowe przekłady jego dzieł, ukazujące się obecnie w Polsce i w Związku Radzieckim, są szybko rozchwytywane. Niedawno jeden z młodszych członków rodziny pisarza, dr Allotte de la Fuye, ogłosił szczegółową jego biografię. Praca ta, niewątpliwie źródłowa, rozwiewa ostatecznie pewną mistyfikację, która w swoim czasie narobiła wiele hałasu i która jeszcze w dwudziestolecie miała zwolenników, szczególnie w Polsce.

Według tej wersji, Juliusz Verne miał być Polakiem z pochodzenia i nazwisko jego było jakoby przełożone na francuski pochodną rodowego nazwiska Oliszewicz (verne, vigne — gwarowa nazwa olchy). Jak powstała ta legenda o Juliuszu Oliszewiczu? Otóż ukuli ją zawistni wrogowie pisarza, kiedy w r. 1877 sztuka jego „Michel Stragoff” odniosła wielki sukces w teatrze Châtelet. Sądząc, że mu w ten sposób zaskądzi, autorzy mistyfikacji puścili ją zrazu w obiegi na terenie prasy paryskiej. Gdy jeden z nich odwiedził pisarza, aby sprawdzić, jakie wrażenie wywarła na nim plotka o jego pochodzeniu, Verne nie tylko jej nie zdemontował, ale dla zabawy potwierdził ją z ironiczną powagą, dodając nawet, że miał kiedyś romans z „księżną Cracowit”. Było to wystarczające, aby paryska plotka stała się europejską sensacją, której echo odczuwały się później, zwłaszcza w Polsce, z coraz to nową siłą.

Ojciec pisarza, Piotr Verne, notariusz w bretońskim mieście Nantes, był autentycznym Francuzem, jak autentyczną Francuzką była jego matka, Zofia Allotte de la Fuye. Juliusz urodził się w tym mieście w r. 1828, umarł zaś w marcu 1905 w Amiens, gdzie spędził ostatnie 20 lat życia. (b)

I właśnie dlatego nie chciała wobec nas pospolitować swego talentu, nie chciała zdradzać się przed nami, dziećmi, do jakiego stopnia to było jej żywiołem. Myśmy byli mali, a ona dorosła, już sama matka dziecku, i oto nagle wyłamuje się spod obowiązującego ją autorytetu, dyskredytuje dorosłych wobec dzieci. Od niej to dowiedzieliśmy się, że i oni mają swoje słabe strony.

Pokazywała nam, jak korepetytor Julka szasta nogami na przywitaniu, jak pije herbatę i grzeje zniebniętą rękę o szklankę. Jak krótkowzroczny pan Babiak poprawia szklę na nosie i mówi „faktycznie, faktycznie” i jak właściciel domu krzyczy na „rządcego” i stuka łaską. Demonstrowała, jak to pani doktorowa mruży oczy i przykłada do skroni ołówek, który miał jej zastępować lorgnon.

Gdyśmy oboje byli już jakby trochę pijani, Antosia w pełnym transie, a my czerwoni ze śmiechu, przychodziła kolej na najbliższych. Pokazywała, jak to Julek (był wtedy w pierwszej klasie i uciekł do ciotki do Sieradza, bo miał złą cenzurkę), wrócił skruszony do domu i stał w przedpokoju. Antosia ustawiła się pod ścianą, wtulała głowę w ramiona, jak spłoszony ptak i patrzyła spode łba wystraszonym wzrokiem, marmotała: „Już nie będę, już nigdy... tatusiu.”

A potem pokazywała, jak to „Jira” grymasiła przy obiedzie i trzeba było było bajki opowiadać, żeby ją dła. Siebie widzieć w interpretacji Antosia było nam nie dość. Więc wolałmy jedno przez drugie: „Antosiu, a teraz Mamusię!”

I tu zaczynał się szal. Antosia w przystępie natchnienia aktorskiego zapominała o należnym swym chlebowodawcom szacunku i po poprzedniej produkcji wychodziła na chwilę z pokoju, po czym zjawiała się udając chód i smutno-poważny wyraz twarzy matki i jak mama, nerwowo mrugała oczami. „Mówiłam wam tyle razy, ale do was mówić to jak grochem o ścianę” — skandowała boleściwie. — „Cały boży dzień... nie mogę się doprosić... Żeby dwoje dzieci...” — chwytała styl mówienia matki.

— A teraz tatusia! Jak tatusz chodzi! — Antosiu pokaż jak tatusz chodzi! Szaleliśmy wszyscy troje, już na nie niepomni...



Pięćka z ogona

„PIERWIOSNEK BŁYSNAŁ ZE ZŁOTYCH
OBSŁONEK”...

Uwagi „Piórek z ogona” o naradach klientów i producentów, konsumentów i przedsięwzięciach, zamieszczone w drugim numerze „Kroniki”, spotkały się z obszerną odpowiedzią w „Łódzkim Expressie Ilustrowanym”.

Drażniła nas i drażni robiona naiwność producentów i usługowców, którzy stale dopiero od klientów „dowiadują się” o podstawowych swoich obowiązkach. Nie byliśmy jednak przeciwni takim naradom w ogóle. Chodziło nam przede wszystkim o to, żeby były bardziej obowiązujące i pogłębione, analizowały przyczyny niedociągnięć, ujawniały winowajców, posuwały sprawę naprzód, a nie wracały stale i periodycznie do punktu wyjścia.

Choć argumentacja „Expressu” niezupełnie nas przekonała — to z radością chcemy podkreślić jedno: dużą kulturę i lojalność polemiczną. Nie są to zjawiska zbyt częste. Poprzedniczka „Kroniki” — „Łódź Literacka” — nie miała na przykład szczęścia do tego rodzaju rzeczowych i rycerskich uwag o sobie.

Oby pierwszaki, podobne do tego, jakim obdarzył nas „Express”, kwitły również i w wazonikach innych redakcji pism polskich!!!

A DLA DZIECI TAK JAK LECI...

Kino „Gdynia” jest m. in. kinem i dla najmłodszych, dla dzieci. Niedawno obchodzony „Dzień dziecka” przypominał nam, iż należy poruszyć właśnie sprawę tego kina. Nie widać tam zbyt wielkiego zrozumienia tego, iż właśnie to kino powinno swego widza chyba najbardziej satysfakcjonować, choć ten widzący widzi często nie umiemy jeszcze pisać i dlatego nie zabiera głosu w książce życzeń i zażaleń.

Wnętrze kina wygląda dość ponuro, w składanych programach — mamy na myśli niekoniecznie najświetniejsze przykłady — przemycano i filmy już przedtem pokazywane, zamiast czystego dźwięku zdarza się i niezrozumiały bełkot, były wypadki, iż w zimie źle opalano salę.

Należy zatroszczyć się o to, żeby kino dla dzieci wyglądało możliwie najprzyzwoiciej. Kto wie, czy nie należałoby na przykład pokryć jego ścian jakimś ucielesnieniem ma-lunkami? Wyjście z kina jest na razie wyjściem na śmietnik!

Szanowni Tatusiowie z Kierownictwa kina i Okręgowej Dyrekcji, zastanówcie się nad tym!

KAZIMIERZ GRUS

MISTER DULLES I GLOB



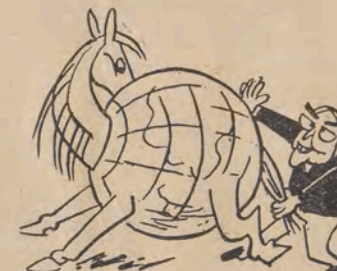
1. Tego konia ujeżdżymy!



4. A to bestia!



2. Goddam!



5. A teraz od ogona...



3. Spróbujemy z drugiej strony



6. O, głupie bydlę!

Z ŁÓDZKICH WSPOMNIENI

Z zadowoleniem czytamy wzmianki prasowe o projektach rozbudowy czegoś, co już dawno winno być rozbudowane, nie jest rozbudowane, lecz będzie rozbudowane. Jak na przykład Ośrodek Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza. Ośrodek ten przechodził różne koleje losu. Brak odpowiedniego światła w salach wystawowych, ich skromne rozmiary, były przyczyną, iż, wymienimy dla przykładu, wystawa malarstwa meksykańskiego nie mogła być w Łodzi urządzona. W przyszłości te braki zostaną usunięte.

Oby tylko wśród wpływowych miłośników produkcji rolnej miasta nie znalazł się zgniewu ktoś, co by utrzymywał, że dla Łodzi byłoby dużą korzyścią, gdyby ten ośrodek zamieniono na... królikarnię.

MISTYKA

Do pewnego wydawcy w Niemczech zachodnich zgłosił się młody pisarz z rękopisem swojej powieści. Po przeczytaniu powieści zwrócił autorowi, przy czym wydawca nie poskąpił mu swoich cennych uwag.

„Błędem pana jest — powiedział wydawca — że pisze pan jednoznacznie. To wszystko jest za jasne, za zrozumiałe, za przejrzyste. Ja dam panu radę: niech pan pisze niejasno, mistycznie — a wtedy zobaczy pan!”

Znamy tę receptę: ciemna, mistyczna literatura kwitła w Niemczech za Hitlera. Wydawcy z błogosławieństwa Adenauera nawiązują, jak widzimy, do „dobrych tradycji”.

ODSŁANIAM TAJEMNICĘ

Omawiając film „Opowieść Atlantycka” („Kronika” Nr 2), Jerzy Miller zapytuje: „Komu więc... należy przypisać fakt, że film nie stał się udanym dziełem i nie spełnia naszych nadziei?”

Mogę zakomunikować Jerzemu Millerowi, iż fakt, że film nie stał się udanym dziełem i nie spełnia naszych nadziei, należy przypisać Wandzie Jakubowskiej.

Będę Redakcji bardzo wdzięczny za zachowanie dyskrekcji, ponieważ jestem nieco bojaźliwy i nie chcę się nikomu narażać.

L. BECK

HORACY SAFRIN

PAW I SOWA

Chętnie się przed ptakami: „Piękny ogon pawi po śmierci imię moje na świecie rozsławi!”
„Co do mnie — rzekła sowa dydaktycznym tonem — wolę sławę zdobywać głową, niż ogonem!”

PRÓBA SIŁ

Zazdrościł Pegazowi romantyczny ogier.
Śmignął w górę, pobujał, spadł i złamał nogę.
„Tym razem — rzekł koń stary — nie uszło ci płazem.
Nie wystarczy pobujać, by zwać się Pegazem!”

ZAKOCHANY SŁOŃ

Słoń wdziękami żyrafy bardzo się zachwycił.
„Cóż? Puściłeś mnie w trąbę...” — westchnęła słonica.

UWODZICIEL NIELETNICH

Baran uszczypnął najmłodszą z owiec.
Złajany, beknął: „Daję wam słowo!
Chciałem ustalić jako fachowiec,
czy nosi wełnę stuprocentową!”

STONOGA I MYSLICIEL

Mędrzec spytał stonogę: „Rzeknij mi po prostu, w jaki sposób podnosisz jednocześnie sto stóp?”
„Sekret — brzmiała odpowiedź — tkwi w tym, mówiąc ściślej, że gdy chodzę na nogach, to o nich nie myślę!”

WILK W SZKOLE

Uczono wilka dobrych obyczajów.
Odpoczął trochę, brzucał sobie spasy,
przejechał porę zimową, a w maju
czmychnął.

Nauka wraz z nim poszła w las.

LIS I BAJKOPISARZ

Gdy będzie się nad bajką, rymów do niej szukam,
lis stoi na uboczu i przygląda mi się.
Wreszcie mówi: „O innych pisać to nie sztuka,
lecz spróbuj coś nowego wymyślić o lisie!”

ZYGMUNT FIJAS

Bajkopisarka czyli o dohodzie i jej snu

SŁOŃCE prażyło ziemię bez miłosierdzia. Nawet ptaszki milczały...
Ale nie milczało pióro bajkopisarki. Śpiewało i śmiało się, śmiało się i płakało, śpiewało bajeczkę morską na sezon letni... Ot, taki szczebiotliwy szmoncesik śpiewało:

„Raz mól Lolo wszedł na molo dorsze łowić z mołem Bolem, ale Ola Bola mola...”

I tak dalej. Wszystkie rymy z literą „L”, żeby dzieciom było weselej.

Niestety, czy się w mózgu bajkopisarki haczyk zawiadujący pointami zaczął, czy też jakaś gumka jej poetyckiego serduszka obluźowała, praca stanęła tuż przed samą metą budującego zakończenia i nie posuwała się.

Różne środki stosowali pisarze, by pobudzić opornego Pegaza do lotu, mdleli na kanapach, wachali zgnile jabłko, podróżowali, kochali się. Dama też zastosowała środki podniecające: opryskała się zimną wodą, przeżuła bućki, zmieniła uczesanie; niestety, zabiegi te nie odniosły pożądanego skutku... Pegaz jak wrył się kopytami w papier, tak nie ruszał z miejsca.

Zrozpaczona autorka odłożyła pióro; jej myśli poszybowały w przeszłość:

Dlaczego tak męczy się? Dlaczego tak się męczy, aby napisać tę przeklętą swawolną bajeczkę z budującym zakończeniem?... Przecież kiedyś mogła objąć stanowisko blokierki w restauracji, mogła zostać kierowniczką sklepu Centrali Mięsnej... Czyż nie dawałyby sobie rady na tych popłatnych posadach? Dlaczego nie postuchała rozsądku?... Dlaczego w ogóle po raz drugi nie wyszła za mąż?... Nie byłaby tak pozbawiona podpory i pewności siebie, nadziei i mocy, nie byłaby przecież tak pozostawiona na samym środku życiowego rozstaju, zdana na łaskę i niełaskę dziejowych wichrów, dmących prosto w jej oczy... Przecież jest przystojna, miała powodzenie, trafiały jej się tak dobre partie... Nie musiałaby się teraz tak męczyć nad pisaniem bajeczki dla tego redaktora-durnia, ponieważż jemu tak się podoba.

Bajkopisarka opryskała się wodą i przez rozłargnięcie umoczyła pióro w herbacie.

Kto wie, dlaczego tego nie uczyniła? Teraz musi wylewać z siebie siódme poty, aby wymyślić zakończenie... Zakończenie, które nikomu nie będzie się podobać, tylko jemu, temu wymokłemu inkwizytorowi w binoklach... Bo przecież nie pisze dla dzieci... Jak się pisze dla dzieci, to ona dobrze wie... Gdyby pisała, jak chce, napisałaby jakieś nowe „Podróże Guliwera”, jakieś czarowne baśnie, które nie tylko dzieciom by się podobały, ale i kapitanowi straży kolejowej, co tak pragnie z nią żyć w przyjaźni, tak nie lubi słuchać jej bajek i tak lubi trzymać dłoń na jej kolanach.

Na wspomnienie kapitana piersi bajkopisarki rosną. Wraz ze wspomnieniami wszystkie jej utajone rozdrażnienia poczynają ją palić jak egzema. Potęguje je nowa fala skwaru, wlewająca się przez okno, poprzez Tadzia, który siedzi na zydełku skulony i właśnie w tej chwili za najstosowniejsze uważa garbić się.

— Dlaczego garbisz się, Tadziu?
— Ja się nie garbię.
— A kto się garbi?
— Przecież nie garbię się.
— Garbisz się!.. Rozumiesz, co matka do ciebie mówi?...
— No, to niech mamusi zdaje się, że ja się garbię... Ja się nie garbię.
— Dlaczego tak krąbrnie odpowiadasz?

— Przecież nic nie mówię.
— A kto mówi? Ja mówię?
— Mamusia mówi.
— Nastaje chwila milczenia.
— Co ty do mnie powiedziałaś?
— Co mamusia ode mnie chce?
— Jak ty do matki mówisz?
— Mówię to co?
— Zamilcz!

Tadzio milczy. Jego myśli krystalizują się wreszcie w pytaniu:

— To dlaczego mamusia nie odda mnie do świetlicy? Gdyby mi mamusia pozwoliła chodzić do świetlicy, to bym nie przeszkadzał.

Nastaje chwila złowrogiego milczenia. Bajkopisarka patrzy tępo na miskę, w której pełnią się języczki cielece dla kapitana i zamykając oczy, aby nie widzieć tego, co za chwilę nastąpi, chwytła synka za rączkę: — Do świetlicy cię wysłę? — syczy. — Do tej poczekalni dworcowej na deprowację? — I wymierza synkowi klapsy z takim rozmachem, aż jej kolczyki w uszach dzwonią.

Teraz jest już dobrze. Tej właśnie pobudki brakowało sercu bajkopisarki. Teraz ma, teraz już będzie pisać!... Drżycie, redaktorzy!... Drżym, nędzny naczelny!

Mamusia zakasuje rękawy, drze z furii bajeczkę morską i pisze jednym tchem porypujący utwór lądowy, zachynający się od słów:

„Gucio, Zosia i Ludwisia
dobry dzionek mają dzisiaj,
z Tadziem w świetlicy biegają,
Nową Hutę wspominają...”

Osoby, występujące w tym utworze, żyją. Guccio, Zosia, koleżanka Tadzia, hasają wraz z innymi dziećmi w przedszkolu; Balbisia bawi na kolo-niach, Tadzio, który też dobry dzionek ma dzisiaj, właśnie płacze.

Utwór kończy się mocnym akordem lądowym: pochwałą warszawskich murarzy.

Ale w nocy, gdy Tadzio zasypia, świat jego wyobraźni zapętniają przeróżne straszliwego ludojada „Żebiwora”, co noc zbliża się do jego łóżeczka i szepcze: — Teraz, Tadziu, ja cię pomścę!.. Pomścę cię! — ryczy potrojmym głosem zwlekając bajkopisarkę z łóżka i wymierzając jej tegie klapsy.

Tadzio budzi się. Swym krzykiem mógłby rozpedzić batalion ludojadów.

Ale „Żebiwór” nie uważa na nic, nawet na to, że Tadzio wyskakuje z łóżeczka. Ucieka dopiero wtedy, gdy w przyległym mieszkaniu klnąc budzą się sąsiedzi. Znika wówczas w czeluści zlewu, śmiejąc się śmiechem spuszczonej na którymś piętrze wody.

ZYGMUNT FIJAS

PARODIA HOLLYWOODU I RENÉ CLAIR

W ROG publiczny nr 1”, to francuska komedia filmowa ośmieszająca hollywoodzkie filmy, których 99% polskich widzów nigdy nie oglądało. Jakże możemy ocenić finię parodii czegoś, czego nie znamy, a jeśli, to tylko z notatek na ostatniej stronie niedzielnych dodatków do dzienników? Na szczęście film Verneuil’a, ośmieszając sztamę przeciętnych amerykańskich filmów, zahacza również o „stosunki amerykańskie” i staje się satyrą na życie w USA. Patrząc pod tym kątem na „Wroga publicznego nr 1”, widz znowu znajduje się w kłopotach. Albowiem o stosunkach amerykańskich czyta (rzadko) sąliste artykuły i reportaże i (często) notatki o charakterze wyłącznie satyrycznym. Toteż spoglądając na ekran gotów jest sobie wyobrazić, że przygody Fernandela w USA są jakąś wypadkową panujących tam stosunków społecznych. Sam Fernandel jest postacią mało prawdopodobną, groteskową, ale tło, na którym się rozgrywa akcja, jest prawdziwe. Widz, nie dostrzegając przerysowań postaci, nie rozumiejąc groteski, traktuje film na serio. I właśnie z tego powodu drażni mnie dobroduszy i pobłażliwy charakter tej części satyry, w której drwi się już nie tyle z Hollywood, co z życia w Ameryce — tym „egzotycznym kraju dorosłych lekkomyślnych dzieci”, obracających się w jakimś innym wymiarze.

Poza tym trzeba przypomnieć, że zawarta we „Wrogu publicznym nr 1” satyra na amerykański film jest trochę niegdysiejsza. Ośmieszają się przede wszystkim naiwność i bzdurność filmów sensacyjnych. Nie tknięto wcale filmów ściśle wprężniętych w służbę dzisiejszej polityki USA. Nie wykpiłono ideału amerykańskiego supermana, ani też nie zadzwiono z panseksualizmu tzw. filmów „głębokich”, jak gdyby wytwórni Hollywoodu nie wykonywały bezpośrednich zamówień amerykańskiego imperializmu.

Dobrodusze ośmieszenie jednej tylko grupy, zresztą nie najgroźniejszych, filmów amerykańskich poważnie umniejsza wartość pomysłowej i dowcipnej komedii Verneuil’a.

Wchodzący na nasze ekrany z pięcioletnim opóźnieniem film René Clair’a pod tytułem „Urok szatana” podobał się amatorom nocnych, a przy tym nieco spirytystycznych seansów w kinie „Wisła”. Gdy z wybieciem godziny dwunastej otwierają się drzwi szczerle nabitej sali, ten i ów z widzów rozgląda się lekliwie po słabo oświetlonych ulicach, jakby się ośmiał, że zła narażnika wychylił się postać chichoczącego Mefista. Ponieważ jednak Clair i Salacrou dowiedli, że nie taki straszny diabeł jak go malują, niepokój rychło mija.

Fabula filmu ukazuje w nowej wersji dzieje dr

Fausta, uczonego, który zaprzedał duszę diabłu i w zamian odzyskuje młodość, nie tracąc świadomości kim był. Chcąc uniknąć swego losu, który poznaje na skutek gadulstwa wszedobylskiego Mefista, odmłodzony dr Faust wyrzeka się zaszczytów, niszczy zapasy złota, rezygnuje z miłości z pękną księżną i, aby zmienić bieg przeznaczenia, poszukuje szczęścia i ratunku w ramionach pięknej cyganki.

Kłeska Mefista w walce o duszę Henryka Fausta nie staje się uogólnieniem kłeski „złych mocy”. A w szczęście, jakie daje obóz cygański, jakoś nie możemy uwierzyć.

Pokarm duchowy „Uroku szatana” jest lekkostrawny, lecz niezbyt pożywny. Idea przewodnia filmu jest reprezentatywna dla pewnych „kierunków” trochę już spóźnionej domowej filarofii francuskiego drobniomieszczanstwa, któremu przejadła się cywilizacja.

Chyba nie omylił się, gdy zachwycił nad „Urokiem szatana” spróbuję wytłumaczyć tęsknotą widza do filmów, w których na każdym metrze taśmy wy-darza się niespodzianka. Przecież twórczość filmowa o promieniach fajerwerki fantazji. Na ekranie doskonale się czuli olbrzym King-Kong, człowiek niewidzialny, Münchhausen i inne napoły baśniowe stwory.

Na tle bieżącej produkcji filmowej, w której zwykło się utożsamiać realizm z wiernym odwzorowaniem rzeczywistości, zaletą filmu Clair’a i Salacrou jest jego inność. Nierealistyczność treści filmu nie wynika z faktu użycia chwytów i oprawy baśniowej, lecz z fałszywego światopoglądu autorów scenariusza. Oto dlaczego, jak sądzę, „Urok szatana” służy tylko rozrywce i zabawie. A moral bajki nie może się przysłużyć sprawie edukacji społecznej.

Jerzy Miller

Nr 5 „Kroniki” ukaże się
30 czerwca br.

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW
POLSKICH
Oddział w Łodzi
NAKŁADEM RSW „PRASA”
Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 96, I p. Tel.: 244-79
Rękopisów nie zamówionych
nie zwraca się
Prenumeratę miesięczną wynoszącą
zł 2,40 przyjmują Urzędy Pocztowe
i listonosze.
Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź,
Zwirki 17. Zam. 1968. Pap. druk. sat.
60 g, V kl. VI. 55. D-6-5634